Profesor
Gabriel Brzęk
O akcji AK „Kuźnica"
str. 3, 6-7

„Nauczyciel powinien pamiętać,
że też był młody i chodził
do szkoły" -
W. Piasecki rozmawia z maturzystką str. 8

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Rok założenia 1933

Kamena

NR 2 (795) 15 - 28 stycznia 1984 CENA 10 ZŁ

LIST Z IZRAELA

Nazwisko autora wiersza wielokrotnie pojawiało się na łamach „Kameny" w ostatnich latach. Obecnie Aleksander Rozenfeld przebywa w Izraelu, skąd przysłał publikowany niżej utwór. W swoim liście pisze m.in.:

„Nie wiemy, dopóki nie sprawdzimy na własnej „sobstwiennoj" skórze, co to jest i jak smakuje emigracja. Tak, parę przedmiotów możesz mieć łatwiej i szybciej, ale czasami myślę, żeby do tej pralki automatycznej samemu się wpakować i dać się wyprać. Nie był to krok najmądrzejszy, ale może skutki jego dałoby się załagodzić? — daj znać, czy mógłbym Ci coś posyłać. Tęsknię bardzo za Wami i nie przypuszczałem, że tak mi będzie Was brakowało".

Aleksander Rozenfeld

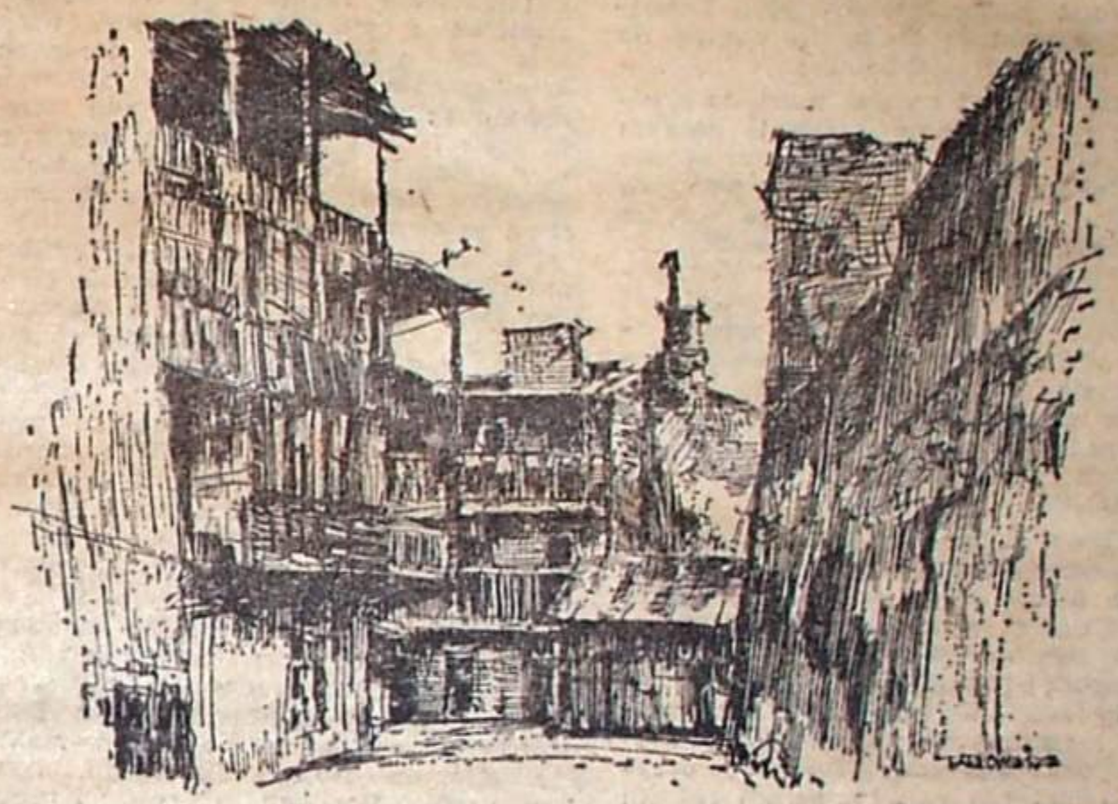

Rys. Józef Tarłowski

Rozmowa z Markiem Adamem czyli Oda do Lublina

zawsze wracają do mnie nasze rozmowy
o wartościach i „opłacalności" odwagi
i nie wiem czy jest wygrany czy przegrany
ktokolwiek spośród nas dwóch
odległość sprzyja możliwości spojrzenia
szerszego niż metry kwadratowe pokoju
a jednak nie mam pewności co do racji
gazety przechodnia na ulicy munduru
słowa jak bumerangi wracają do tego
kto je pierwszy wypowiedział nie dość rozważnie
i nie ma znaczenia Osoba zasiadająca za prezydialnym
stołem w tej czy innej instytucji
to wszystko to tylko gry zastępcze
namiastka prawdy która nie istnieje
. . . . . .
i nie wiem jak powiedzieć o tęsknocie
. . . . . .
ale chciałbym wiedzieć — czy na darmo
strzępiliśmy sobie języki spierając się o prawdy
elementarne znaczenia słów: tak — nie
czarne — białe wolno — nie wolno
i na ile ironia zastąpiła sposób życia
. . . . . .
tutaj gdzie jestem nie ma zbyt wielkich różnic
w interpretacji znaczeń — one jednako służą
potrzebom doraźnym — jednako brzmią fałszem
z tą różnicą że nie każą ci wierzyć — jest
wolność wiary — gry zastępcze nie są tak
moralnie kosztowne — ale gdy się zastanowić
to ty i tutaj mógłbyś egzystować jako bard
rzeczywistości zastanej — chociaż język
jest o wiele bogatszy i trzeba się go długo uczyć
. . . . . .
moralność — ta istnieje tylko w sutannie
. . . . . .
to dziwne jak ubożeje i ostrzy się obraz w nocy...
oto krakowskie przedmieście z mikulskim w ramce bramy
gdzieś mignie maciek w karakułowej czapie zimy
z nogami splątanymi niemocą chodnika
i jasiński na zebraniu trzeźwy aż do obrzydzenia
tak chciałby się uśmiechnąć ale statut nie przewiduje
wyjścia z uśmiechem z sytuacji dwuznacznej
oto brama krakowska ze mną żebrzącym o jałmużnę
pamięci — najlepsze lata — lublinie — najlepsze lata
to te które nie wracają — nawet cmentarza nie ma
podobnego i z duchami obrządek płaczu nie do pomyślenia
. . . . . .
a na dizengoff w tel-avivie zdawało się spotkałem
kwiata — z brodą do ziemi i płaszczem po kostki
grał na gitarze — jeszcze polska — i monety sypały
się do kapelusza jak gwiazdy srebrzyste...
tu nie ma takich kawiarni — tu nie ma takich knajp
tu się nie pije zbyt wiele — tu się nie żyje za długo
tu się nie żyje wcale — jeżeli za życie ma starczać
modlitwa do matki boskiej nieustającej tęsknoty
. . . . . .
ciekawe czy pod powszechną nadal stoi ten tatuowany typ
który nie dawał mi spokoju błagając bym go wpuścił
na jedną kroplę matki pocieszycielki strapionych
ciekawe gdzie się podziewa kazio — śpiewający
bard nory — komu gotuje sławny kozacki bigos
oto robuś — wrócił właśnie po iluś latach
z papierosami kupionymi na rogu ulicy
tacy mi bliscy jesteście wszyscy — tacy odlegli
dwie równoległe — które się nigdy nie przetną
dwa życia które się ze sobą nie spotkają — nigdy
jesteśmy coraz młodsi — coraz młodsi wobec nadchodzącej
białej pani — coraz mniejsi — wobec osaczenia
pisałem — to prawda — kiedyś o banale
bystrzycy i metafory topionej w jej wodzie
ale dzisiaj — kajam się — bronię banału
okno z kotem wygrzewającym się
rynek starego miasta utopiony w słońcu
wieża katedry i kogut
sza ... chwila i zapieje i wstaną z martwych
poeci i pójdą jednym szeregiem na wódkę pod kaczkę
a potem do karasia nadbystrzyckiej gerwazego
słyszę zygmunta — recytuje niobe — warto umrzeć
by zmartwychwstać i dołączyć do nich
. . . . . .
tęsknota — to stara prostytutka która kokietuje wdziękiem
wspomnień — powracających chwil nie do zapomnienia
oto stoi przed lustrem i się mizdrzy — prawda jaka ładna
byłam przed dziesięcioleciem — a teraz zmarszczki
nie da się uciec — nie da się uciec przed wspomnieniem
was wszystkich którym może i na co dzień dokuczałem
zbytnią werwą pewności — a to przecież tylko onieśmielenie
sytuacją — a to tylko obawa przed śmiesznością
. . . . . .
mickiewiczowska zosia — tania metafora — lecz nie umiem
inaczej niż odą — jam jankiel z przetrąconym instrumentem
nie idzie mi gra w zadowolenie — nie umiem się cieszyć
oto gorycz odległości — oto czas — który stał się wrogiem
nie będzie zmartwychwstania — cud się zdarza tylko raz
nadchodzi zima — zaniesie moje zmarznięte serce
do lata — którego nie będzie

Izrael październik
1983 (haswan 5744)

Zwycięskie idee KRN

Przemówienie posła Pawła Dąbka wygłoszone na posiedzeniu Sejmu PRL w dniu 29 grudnia ub. r.

Na posiedzeniu Sejmu w dniu 29 grudnia ub. r. poświęconym 40-leciu powstania Krajowej Rady Narodowej wygłosił przemówienie jeden z dowódców ruchu oporu na Lubelszczyźnie, członek b. Krajowej Rady Narodowej, poseł na Sejm PRL, Paweł Dąbek. W zasadzie „Kamena" nie drukuje przemówień: tym razem z uwagi na znaczenie rocznicy jak i osobę mówcy — czynimy wyjątek. (Red.)

Szanowni zebrani!
Szanowni posłowie!

Na dzisiejszym uroczystym posiedzeniu Sejmu, poświęconym uczczeniu 40-tej rocznicy powstania Krajowej Rady Narodowej, mam moralny obowiązek zabrać głos jako delegowany w swoim czasie przez konspiracyjną Lubelską Wojewódzką Radę Narodową do Krajowej Rady Narodowej.

Przez pryzmat czasów rzucamy spojrzenie na przemiany zaszłe w naszym kraju w ciągu 40 lat. Każde uroczyste ustosunkowanie się do takich ważnych rocznic jak 40-lecie Ludowego Wojska Polskiego, 40-lecie Polski Ludowej, czy też, jak teraz, do 40-tej rocznicy powstania Krajowej Rady Narodowej jest nie tylko zwrotem naszych serc i umysłów ku przeszłości. To ustosunkowanie się ma znaczenie tylko wtedy, gdy w całej pełni służy rozwiązywaniu spraw dnia bieżącego i umacnia stawiane perspektywy narodowe na przyszłość.

Krajowa Rada Narodowa działała w stolicy jako konspiracyjna władza: powołała Armię Ludową i jej Naczelnego Dowódcę, generała Rolę-Żymierskiego, ustaliła tymczasowy statut dla rad narodowych jako podstawę do organizowania wojewódzkich, powiatowych i gminnych rad narodowych oraz ogłosiła program ustrojowy przyszłej Polski Ludowej, program reform społecznych i rewolucyjnych przeobrażeń.

Dziś obchodzimy również 40-tą rocznicę powołania Armii Ludowej, jako ogólnej zbrojnej organizacji, nad którą zwierzchnictwo sprawowała Krajowa Rada Narodowa. Podstawą Armii Ludowej w okresie jej powstawania były podziemne organizacje wojskowe tych ugrupowań, które wchodziły w skład Krajowej Rady Narodowej.

Wartko potoczył się proces wzrostu zarówno liczby oddziałów partyzanckich, jak też aktów walki przeciw okupantowi.

Miały miejsce wielkie bitwy partyzanckie, jak walki nad Branwią, na Wzgórzach Porytowych, w lasach janowskich, kraśnickich, łączące we wspólnych szeregach żołnierzy Armii Ludowej, Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich oraz partyzantów radzieckich. Takie bitwy, jak w obronie wysiedlanej ludności zamojskiej, jednały do wspólnej walki różne organizacje polskie celem przeciwstawienia się eksterminacji. Niedawno obchodziliśmy 40-lecie walk Batalionów Chłopskich. Na trwałe zapisały się w historii liczne bitwy i akcje partyzanckie.

Na ziemiach całej centralnej Polski po obu stronach Wisły rozegrały się setki bitew i akcji bojowych.

Powołanie Krajowej Rady Narodowej z jej programem społeczno-politycznym, jak też hasłem walki z okupantem aż do zwycięstwa — wpłynęło na wzmożenie się współdziałania wszystkich organizacji w różnych bitwach i akcjach. To było wielkie osiągnięcie idei Krajowej Rady Narodowej.

Do współpracy i wykonania zadań stawianych przez Krajową Radę Narodową powstawały na jej wezwanie liczne rady narodowe. Lubelszczyzna pierwsza powołała na początku lutego 1944 roku konspiracyjną Lubelską Radę Narodową, która postawiła robie za zadanie pomoc w organizowaniu Armii Ludowej, łączenie w swoim składzie osobowym przedstawicieli społeczeństwa i różnych walczących organizacji bojowych: AK, BCh, AL.

Rosła liczba rad narodowych, Rada Narodowa dla m. Warszawy w Warszawie, Wojewódzkie Rady Narodowe w Kielcach, Krakowie, na Śląsku, Łodzi, Rzeszowie, Białymstoku. Masowo organizowały się rady narodowe powiatowe i gminne, a nawet wiejskie na wszystkich tych terenach. Jednocześnie społeczeństwo zatętniło silnym rytmem przez setki rad narodowych i do walki i do budowy zrębów władzy. To był wielki rozdział w życiu KRN: mobilizacja społeczeństwa w okresie konspiracji.

Po wyzwoleniu Chełma i Lublina przez Armię Czerwoną i I Armię Wojska Polskiego Krajowa Rada Narodowa po wyjściu z konspiracji objęła władzę jako oficjalny Ludowy Parlament.

Powołany został jako władza wykonawcza Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, który ogłosił Manifest Lipcowy, będący wezwaniem narodu do dalszej walki o wyzwolenie, a następnie o reformy społeczne. Powołano Milicję Obywatelską. Na Lubelszczyźnie KRN powołała jednolite Ludowe Wojsko Polskie przez połączenie I Armii WP i Armii Ludowej. Na trwałe wpisane są do historii Wojska Polskiego nazwiska dowódców: marszałka Michała Roli-Żymierskiego, gen. Zygmunta Berlinga i gen. Karola Świerczewskiego.

Pragnę mówić o realizacji programu zawartego w Manifeście, a wysuwającego w pierwszej kolejności, przez przeprowadzenie reformy rolnej i nacjonalizację wielkiego przemysłu i banków, odbudowę zniszczonego kraju.

Ten właśnie program odbił się wielką siłą wśród klasy robotniczej i chłopów oraz spotkał się z pozytywnym przyjęciem.

Robotnicy powoływali swoje związki zawodowe i komitety fabryczne, które wraz z załogami fabryk stawiały sobie za zadanie odbudowę zniszczonych fabryk i uruchamianie produkcji. Trzeba było widzieć ich entuzjazm, ofiarność i zdyscyplinowanie.

Na wsi przystąpiono do dzielenia ziemi obszarniczej. Następował ostry sprzeciw ze strony reakcyjnych elementów aż do terroru włącznie i propagandy, aby chłopi ziemi nie przyjmowali. I tu wykazała się siła robotniczo-chłopskiego sojuszu, bowiem grupy robotników wyjeżdżały na miejsca parcelacji i przeprowadzały podział ziemi, wręczając akty nadania ziemi.

Taka była logika faktycznej budowy demokratycznego Frontu Jedności działania społeczeństwa. Tak powstawała demokracja ludowa na co dzień.

Między miastem i wsią kształtował się silny sojusz robotniczo-chłopski. Robotnicy, chłopi i inteligencja po koszmarnym okresie faszyzmu uaktywniali się w najwyższym stopniu. Poczucie dawnej krzywdy społecznej oraz pragnienie demokracji, a równocześnie ofiarność i zapał do pracy, były motorem działania.

Wielu ludzi z oddziałów partyzanckich AL, BCh i AK szło organizować Milicję Obywatelską, ORMO i różnorodną straż porządkową i ochrony mienia społecznego.

Inni znów szli masowo do organizującej się II Armii Wojska Polskiego i uzupełniali również I Armię Wojska Polskiego. Ponad 400 tysięcy żołnierzy liczyło Wojsko Polskie. Wielu z nich grożono, do wielu z nich strzelano, wielu z nich zginęło, a ludzie masowo, nieustraszenie, organizowali władzę i szli do odrodzonego Wojska Polskiego.

Mimo nadal trwających na ziemiach polskich działań wojennych i trudności politycznych, Krajowa Rada Narodowa konsekwentnie krok po kroku, realizowała swój program.

Krajowa Rada Narodowa uszanowała wkład w zwycięstwo żołnierzy polskich na Zachodzie w Anglii, Francji, we Włoszech i innych krajach. Krajowa Rada Narodowa uszanowała patriotyzm żołnierzy w Powstaniu Warszawskim.

Prowadzona była aktywna działalność na rzecz konsolidacji społeczeństwa wokół programu KRN.

Polska Partia Robotnicza, Polska Partia Socjalistyczna Stronnictwo Ludowe i Stronnictwo Demokratyczne odbyły swoje narady, zjazdy i konferencje.

Organizacje młodzieżowe: OM TUR, ZMW „Wici", Związek Walki Młodych odbyły swoje zjazdy i narady i poparły działalność KRN oraz jej program.

Sama KRN w ciągu sierpnia i września 1944 roku w Lublinie podjęła działalność ustawodawczą w podstawowych sprawach: uchwaliła ustawę o wydawaniu dekretów z mocą ustawy, o trybie powoływania władz administracji ogólnej oraz podstawową ustawę o organizacji i zakresie działania rad narodowych, a PKWN wydał dekret o reformie rolnej i dekret o organizacji samorządu terytorialnego.

Te ustawy i dekrety przypieczętowały trwałość rozwiązań zapowiadanego ludowładztwa.

Nieco później przyjęta została ustawa o nacjonalizacji przemysłu, zamykająca główne fundamentalne decyzje KRN.

Na terenach okupowanych i wyzwalanych tworzyły się również rady narodowe niższych szczebli.

W tych radach, w ich działalności, Krajowa Rada Narodowa i PKWN mieli oddanych sprzymierzeńców i wykonawców ich decyzji.

Obok działaczy partyjnych radni rad narodowych byli w terenie niestrudzonymi propagatorami i realizatorami ustaw, dekretów i decyzji płynących z lubelskiej siedziby KRN i PKWN.

Mówię przy okazji 40-lecia KRN o działaczach rad narodowych, bo bez ich wsparcia, zaangażowania, ofiar życia, niemożliwe byłoby sprawne tworzenie władzy ludowej.

Te tysiące patriotów skutecznie budowało fundamenty władzy naszej wolnej, ludowej, socjalistycznej Polski.

Był to okres przebogaty w wydarzenia wojenne, społeczno-polityczne i gospodarcze.

Na żądanie masowych organizacji robotniczych związków zawodowych przekształcono PKWN w Rząd Tymczasowy, który potem dał podstawę do stworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. To też było zwycięstwo idei Krajowej Rady Narodowej.

Społeczeństwo pracowało zgodnie jak pszczoły w narodowej unowocześniającej się pasiece. I ciągle przez planowe liczne pięciolecia szło naprzód. Czasem jednak w niektórych miejscowościach, w różnych latach część społeczeństwa wyrażała niezadowolenie, zaszemrała. Nie usuwano równolegle przyczyn objawów tego niezadowolenia. Nie usuwano błędów, jakby to powiedzieć, na chodzie.

Wkroczyliśmy następnie w okres trudności i kryzysu.

I teraz nie należało nam rozpaczać, a trzeba było działać. Dano odpór siłom anarchii, nieporządku i wrogom socjalizmu. Był ten grudniowy dzień decydujący dla zahamowania groźnych procesów.

Stopniowo wchodzimy w okres opanowywania zjawisk kryzysu, inflacji. Deklaracja z 20 lipca podpisana przez przedstawicieli kierownictw politycznych organizacji i innych sygnatariuszy wprowadza nas w okres stabilizacji na podstawach socjalistycznej odnowy.

Przywrócić należy właściwy stosunek i właściwą ocenę 40-lecia. Minione 40-lecie to wielki narodowy wysiłek ofiarnej pracy i walki milionów robotników, chłopów i inteligencji o Polskę sprawiedliwą i bezpieczną.

Na dzisiejszym posiedzeniu Sejmu zgromadziliśmy się, posłowie, razem z działaczami i organizatorami KRN i PKWN, aby stwierdzić że dorobek Polski Ludowej w oparciu o program przebudowy życia społeczno-gospodarczego i politycznego, nakreślony w dokumentach KRN, PKWN, PPR, partii i stronnictw politycznych, został wykonany. Gospodarczy, cywilizacyjny, kulturalny awans polskich mas pracujących jest bezsporny. Niestety, wtargnęły również i wypaczenia w nasze życie, które będziemy usuwać.

Mogę stwierdzić, dziś że te kadry, ci robotnicy, chłopi i inteligencja pracująca, wierzący i niewierzący, z głębokim szacunkiem odnoszą się do całego dorobku Polski Ludowej i do ludzi organizujących drogi dojścia do tego dorobku.

Mogę stwierdzić również, że ci sami ludzie — robotnicy, chłopi, inteligencja, z głębokim niepokojem przyjmują objawy zła w naszym życiu. Dlatego z wielką wiarą, głębokim przekonaniem, odnoszą się do programu naprawy gospodarki i socjalistycznej odnowy, do programu walki z kryzysem i inflacją, nieprawością i demoralizacją. Kryzysy mają to do siebie, że przychodzą i odchodzą, i ten też minie dzięki pracy robotników, rolników i naukowców.

W oparciu o bezsporny dorobek gospodarczo-społeczny, o przyjaźń z Krajem Rad, krajami socjalistycznymi, nie tylko będziemy mieli osiągnięcia w tej dziedzinie, ale również przeciwstawimy się imperialistycznym knowaniom i naruszycielom zasad pokoju w Europie i na świecie.

Sejm PRL w ostatnich trudnych latach zdobył wielki autorytet społeczny swoim spokojem, cierpliwością, konsekwentnym nawoływaniem, apelami do zawrócenia z drogi dezorganizacji i położenia tamy nieodpowiedzialności sił destrukcyjnych.

Dzisiejszy Sejm jest kontynuatorem i spadkobiercą tych najlepszych cech KRN, które prowadziły do jednania wszystkich ludzi pracy do głównych spraw ważnych dla Polski Ludowej.

Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego, stając się twórczą organizacją — budzi nadzieje na dobre i prawidłowe rozwiązanie umacniające socjalistyczną odnowę.

Na zakończenie pragnę stwierdzić, że należy się ludziom pracy podziękowanie za ich trud w realizacji idei Manifestu PKWN, Krajowej Rady Narodowej, i realizacji kolejnych planów pięcioletnich; robotnikom — za zbudowanie tysięcy fabryk, szkół, domów mieszkalnych, szpitali, domów kultury, robotnikom — za wyprodukowanie żelaza, stali, aluminium, szkła, cementu i cegieł, tych cennych materiałów budowlanych. Należy się podziękowanie górnikom za węgiel, energetykom za energię elektryczną, stoczniowcom za zbudowanie potężnego przemysłu okrętowego. Należy się podziękowanie ludziom pracy na Ziemiach Odzyskanych Północnych i Zachodnich, którzy swoją pracą zespolili na wieki te ziemie z Macierzą.

Rolnikom należy się podziękowanie za to, że dawali wyprodukowane środki do życia przez lata ogólnego wysiłku budowania gospodarki. Podziękowanie należy się nauczycielom za wychowanie młodzieży i dzieci. Do nauczycieli mamy taki szacunek, jak do matki i ojca. Należy się podziękowanie pracownikom wszystkich dziedzin naszego życia społeczno-gospodarczego.

Specjalne podziękowanie należy się żołnierzom Ludowego Wojska Polskiego za ich trud wyzwoleńczy, bojowy i uczestnictwo w codziennym życiu narodu i państwa i za to, że stali na straży jego niepodległości i spokoju.

Polska Ludowa nie zginęła i nie zginie.

Polska Ludowa żyje i żyć będzie, bo oparta jest o trwałe fundamenty, założone przez Krajową Radę Narodową.

O nauce i walce - rozmowa z prof. dr. Gabrielem Brzękiem

AKCJA AK „KUŹNICA"

MIROSŁAW DERECKI: — Z lubelskim ośrodkiem naukowym jest pan profesor związany od prawie czterdziestu lat: od pierwszych miesięcy istnienia Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej. Był pan wykładowcą kilku dziedzin biologii, najpierw na UMCS, a potem w Wyższej Szkole Rolniczej, a wreszcie w Akademii Rolniczej, sprawując też przez wiele lat funkcje dziekana i prorektora. Znamy też pana profesora jako wieloletniego działacza społecznego, organizatora i przewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego Komitetu Obrońców Pokoju, członka Ogólnopolskiego Komitetu Pokoju, członka prezydium WK FJN i ZW ZBoWiD. Opublikował pan liczne prace naukowe z dziedziny hydrobiologii oraz historii nauk przyrodniczych w Polsce, że wspomnę tylko o trzytomowym dziele — „Historia zoologii w Polsce do r. 1918".

W ostatnich latach dał się pan profesor także poznać jako pisarz: wydana w 1982 r. przez Wydawnictwo Lubelskie monografia — „Benedykt Dybowski. Życie i dzieło" zniknęła błyskawicznie z półek księgarskich. W pasjonujący sposób została w niej przedstawiona sylwetka jednego z najznakomitszych uczonych polskich, pierwszego krzewiciela nauki Darwina w Polsce, badacza fauny Bajkału oraz przyrody i ludów Kamczatki. Był zarazem Dybowski żarliwym patriotą, uczestnikiem Powstania Styczniowego, bliskim współpracownikiem i emisariuszem Rządu Narodowego. Za swą działalność został skazany na wieloletnią katorgę. Trafiwszy na Sybir, nie tylko nie załamał się, ale podjął szerokie i dogłębne badania naukowe. Jego niezwykłe przygody, wtopione w dzieje polskich zesłańców na Sybir, opisuje pan profesor w sposób niezwykle sugestywny i wręcz — sensacyjny. „Pragnieniem moim — pisze pan m.in. w przedmowie do książki — jest oddać w ręce Czytelnika, a zwłaszcza młodzieży, książkę o niezwykłym człowieku, by dowiedziała się, jak wielkie ofiary ponosili jej dziadowie i pradziadowie, aby Polskę, wymazaną przez blisko półtora wieku z kart Europy, wyzwolić z niewoli, a imieniu polskiemu przysporzyć sławy".

PROF. GABRIEL BRZĘK: — Sylwetką prof. Benedykta Dybowskiego zainteresowałem się już podczas studiów uniwersyteckich w Poznaniu, w drugiej połowie lat dwudziestych. Nie znałem wprawdzie osobiście owego nestora zoologii polskiej, który dożywał wówczas we Lwowie końca swego blisko stuletniego żywota, ale wzrastałem — jako student, a następnie asystent — w atmosferze głębokiego kultu dla Benedykta Dybowskiego. Moim bezpośrednim zwierzchnikiem był bowiem profesor zoologii i zasłużony rektor Uniwersytetu Poznańskiego, który zanim przybył do Poznania, był we Lwowie uczniem i najbliższym współpracownikiem prof. Dybowskiego. Nazywał się Jan Grochmalicki. W domu państwa Grochmalickich stała fotografia Dybowskiego oprawiona w ażurową srebrną ramkę z motywami roślinnymi, w którą wmontowane były skorupki mięczaków bajkalskich. Zaznaczam, że Grochmalicki wykonał wraz z prof. Dybowskim dwanaście prac o mięczakach, głównie bajkalskich, w okresie gdy badacz Bajkału był już na emeryturze, a on — jego asystentem-wolontariuszem.

W chwilach dobrego humoru profesor Grochmalicki opowiadał w niezwykle barwny sposób o wyczynach Benedykta Dybowskiego na Syberii, o wyrąbywaniu w powierzchni skutego 1—2 metrowej grubości lodem Bajkału przerębli i wyciąganiu z toni „świętego morza" nie znanych nauce gatunków zwierząt, o budowie łodzi, którą polscy śmiałkowie pod flagą polską z napisem „Nadzieja" wybrali się na ekspedycję amurską, o sprowadzeniu renów na Wyspę Beringa, o leczeniu 115-letniego lamy... Brałem też udział w korekcie „Pamiętnika" Benedykta Dybowskiego, którego pierwsze arkusze redagował prof. Grochmalicki. To wszystko sprawiło, że zacząłem rozczytywać się w dziełach naukowych Dybowskiego oraz publikacjach pamiętnikarskich i po pewnym czasie jako starszy asystent zgromadziłem nawet wcale pokaźną biblioteczkę dotyczącą jego życia i działalności.

M. D.: — Jest więc książka pana profesora ukoronowaniem wieloletnich zainteresowań postacią jej bohatera?

G. B.: — Niewątpliwie tak. Jak już powiedziałem, wzrastałem w kulcie wobec sylwetki tego wielkiego uczonego i patrioty. Jego postawa jako Polaka była dla mnie przez całe życie wzorem. Powiem panu jeszcze, że w 1976 r. odbyłem podróż do Związku Radzieckiego szlakiem Benedykta Dybowskiego. Zwiedziłem m.in. jego rodzinny Mińsk, Tobolsk, przez który przejeżdżał kibitką w drodze na katorgę, następnie — Irkuck (zwany na przełomie dwóch ostatnich stuleci stolicą polskich zesłańców) oraz miejscowości nad Bajkałem, w których bohater mojej książki mieszkał przez długie lata i gdzie prowadził badania naukowe. Nawiasem mówiąc, dawna wioszczyna Kułtuk, gdzie zachował się tzw. „domek Dybowskiego", to dzisiaj wielotysięczne miasto.

Fot. W. Stępień

M. D.: — Niezwykłe wydają się — jak na dzisiejsze czasy — owe relacje: profesor — asystent, o jakich pan wspomina mówiąc o swej ponad 10-letniej pracy w Uniwersytecie Poznańskim.

G. B.: — Proszę pana: kiedy ja studiowałem, a następnie — kiedy zostałem asystentem, a potem starszym asystentem i adiunktem w Zakładzie Zoologii Uniwersytetu Poznańskiego, profesor wybierał sobie z grona zdolnej młodzieży współpracownika po to, aby zrobić zeń p r a w d z i w e g o naukowca. No, i żeby mieć pomocnika z prawdziwego zdarzenia w prowadzonych przez siebie badaniach. Ktoś, kto chciał zostać naukowcem, musiał wiedzieć, że jego życie prywatne, osobiste, musi zejść wobec Nauki na daleki plan. Mówiło się, że tak jak ryba nie może żyć bez wody, a ptak — bez powietrza, tak kandydat na naukowca, nie może żyć bez Nauki. Takich asystenckich „pasikoników", jakich nierzadko dzisiaj możemy spotkać na uczelniach, wtedy by nie tolerowano. Powiem więcej: młody pracownik naukowy był poddany bezustannej presji pogłębiania wiedzy, dążenia do doskonałości. Wiedział, że jeżeli profesor znajdzie kogoś bardziej zdolnego, bardziej ambitnego i pracowitego niż on, dokona natychmiast bezkompromisowego wyboru. W przededniu drugiej wojny światowej miałem lat trzydzieści, żonę i dwoje dzieci, ale miałem już także doktorat i rozpoczęty przewód habilitacyjny. I to się przede wszystkim liczyło dla moich przełożonych. Decydowały: pasja naukowa kandydata, jego dorobek, morale i patriotyzm. A o tym, że nad Ojczyznę ciężkie chwile nadciągają, wyczuwaliśmy intuicyjnie. Moim drugim szefem, po śmierci w 1937 r. prof. Grochmalickiego, był profesor Antoni Jakubski, człowiek wielkiego umysłu, wybitny naukowiec, żarliwy patriota, podpułkownik rezerwy z czasów pierwszej wojny światowej i walk o niepodległość Ojczyzny. On jedynie zdawał sobie sprawę z nadciągającej wojny i jej skutków. Z tego również, że naród polski nie podda się okupantowi.

Zaraz po klęsce wrześniowej prof. Jakubski związał się z konspiracją; uczestniczył w Warszawie w jednym z pierwszych zebrań założycielskich Służby Zwycięstwu Polski, zorganizowanych przez generała Karaszewicza-Tokarzewskiego. Otrzymał przydział na ważną placówkę konspiracyjną we Lwowie. Został jednak aresztowany przez Niemców i trafił na długie lata do Oświęcimia, przeżył okrucieństwa obozów i znalazł się pod koniec wojny w 2 Korpusie.

Profesor Jakubski imponował nam, młodym, swoją żołnierską, patriotyczną postawą, toteż później, w latach okupacji, gdy szedłem na jakąś wyjątkowo konspiracyjną akcję, zadawałem sobie w myślach pytanie: co by o mnie mój profesor Jakubski pomyślał, gdybym stchórzył, jeślibym tego zadania nie wykonał?

M. D.: — Czerpał więc pan profesor wzory patriotyzmu od swoich przełożonych, naukowców?

G. B.: — Patriotyzmu uczyłem się, proszę pana, przede wszystkim w domu rodzinnym, od najmłodszych lat. Pochodzę z rodziny, która była bezgranicznie oddana sprawie odzyskania niepodległości. Moi rodzice mieszkali w małym podrzeszowskim miasteczku, Błażowej, i ja też się tam, w 1908 r., urodziłem. U nas w czasie każdej modlitwy proszono Boga „o broń i orły narodowe". To pamiętam z czasów najdawniejszego dzieciństwa.

Moi rodzice oddali wszystkie kosztowności na Skarb Narodowy: zamiast złotych obrączek nosili później stalowe pierścienie z orzełkiem z brązu. Miałem czterech braci i wszyscy, cała piątka, związani byliśmy w różnych okresach z organizacjami niepodległościowymi lub z harcerstwem. Brat najstarszy, Antoni, absolwent prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, poszedł do Legionów, był w 1 pułku, brał udział we wszystkich bardziej znanych bitwach; pod Jastkowem koło Lublina został poważnie ranny. Drugi brat uciekł do Legionów z szeregów wojska austriackiego, co opłacił więzieniem, tzw. „einziem". Najmłodszy brat, Stanisław, był działaczem skautowym, przyjacielem Lisa-Kuli i zmarł w przeddzień wybuchu wojny na skutek zranienia podczas ćwiczeń strzeleckich. A czy pan wie, jak głębokim dla nas, uczniów pierwszych klas gimnazjalnych w Rzeszowie (w 1918 r. miałem jedenasty rok), było przeżycie, kiedy ogłoszono w szkole, że oto Polska powstała! Jeszcze podczas uroczystości rozpoczęcia roku szkolnego, we wrześniu 1918 r., mieliśmy śpiewać po niemiecku pierwszą zwrotkę hymnu austriackiego. A tu 12 listopada wchodzi do klasy nasz profesor, Michał Krzeczkowski, i mówi: „Chłopcy, powstała wolna Polska!" I wtedy wstaliśmy wszyscy z miejsc i razem z profesorem, płacząc, zaśpiewaliśmy. Najpierw „Rotę", później — „Jeszcze Polska nie zginęła"! Czy pan wie, jak głębokie było dla mnie przeżycie, gdy w dwa lata później, przed frontem całej szkoły, przedstawiciel Wojska Polskiego dekorował na boisku szkolnym dwóch naszych starszych kolegów — jednego Krzyżem Walecznych, a drugiego Krzyżem „Virtuti Militari" za bohaterstwo frontowe!? Tak, to właśnie tam, na Rzeszowszczyźnie, gdzie w okresie okupacji przyszło mi walczyć o wolność kraju, uczono mnie, co to znaczy być Polakiem...

M. D.: — Wiadomo mi, że napisał pan profesor książkę dotyczącą działalności Armii Krajowej na Rzeszowszczyźnie. Kilkusetstronicowym maszynopisem „Wspomnień »Dewajtisa«" zainteresowało się Wydawnictwo Lubelskie...

G. B.: — Tak, to wspomnienia. Ale zarazem — opracowanie historyczne dotyczące zupełnie unikalnej w skali krajowej konspiracji — działalności agendy Inspektoratu AK-Rzeszów, oznaczonej kryptonimem „Kuźnica". Była to na bardzo szeroką skalę zakrojona akcja tajnego nauczania pod kątem potrzeb kursów wiedzy wojskowej. Mieliśmy mnóstwo młodzieży garnącej się żarliwie do konspiracyjnych szkół podoficerskich i na kursy podchorążówek. W ogromnej większości, niestety, młodzież owa, z takich czy innych powodów nie posiadała pełnego cenzusu wykształcenia. Aby zostać pełnoprawnym podoficerem, musiało się w AK mieć co najmniej ukończoną 7-klasową szkołę powszechną, a w przypadku szkoły podchorążych niezbędna była „duża matura". Należało tych wspaniałych, odważnych, pełnych poświęcenia chłopców wykształcić w zakresie szkoły ogólnokształcącej i ja, z gronem kolegów, podjęliśmy się tego dzieła.

M. D.: — Było to więc ogólnokształcące „konspiracyjne szkolnictwo wojskowe" zorganizowane „dla potrzeb" armii podziemnej?

G. B.: — Niezupełnie tak, jak pan mówi, bo pod koniec okupacji obejmowaliśmy też nauką duże grono młodzieży „cywilnej"; synów i córki naszych zasłużonych żołnierzy. No i współpracowaliśmy także z cywilną akcją tajnego nauczania.

M. D.: — Za działalność w podziemiu został pan profesor odznaczony Krzyżem „Virtuti Militari", Krzyżem Walecznych oraz dwukrotnie Krzyżem Zasługi z Mieczami... Jak trafił pan do konspiracji?

G. B.: — Już we wrześniu 1939 r. Niemcy zaczęli mi w Poznaniu deptać po piętach, gdyż 15 września 1939 r. zostałem aresztowany i uciekłem z obozu przejściowego pod Poznaniem; musiałem więc uciekać z terenów przyłączonych do Reichu. Z żoną, dziećmi i dwiema walizkami przekroczyliśmy pewnej nocy potajemnie w rejonie Koluszek granicę między Rzeszą a Generalną Gubernią; po wielu trudach dotarliśmy do mego rodzinnego domu, do Błażowej. Zastałem, niestety, zgliszcza, gdyż część domu rodziców wraz z gospodarczym zapleczem została podczas działań wojennych 1939 r. spalona.

Moja żona, mgr biologii, kobieta niezwykle przedsiębiorcza, założyła w tym miasteczku coś w rodzaju kawiarenki, i z jej skromnych zarobków musieliśmy się utrzymywać. Pewnego grudniowego dnia 1939 r. zostałem zaprzysiężony do ZWZ. Jako pierwsze zadanie otrzymałem zorganizowanie

Dokończenie na str. 6—7

Pamięć własna (2)

BEZPOŚREDNIO po ukończeniu studiów prawno-ekonomicznych w Uniwersytecie Warszawskim autor wspomnień wyjeżdża w roku 1925 na dwa lata za granicę; do Pragi (jako „kontraktowy referent prawny" w polskim Konsulacie Generalnym), a następnie do Paryża, gdzie studiuje w Ecole des Sciences Politiques (jako wolny słuchacz). Latem 1927 roku wraca do kraju.
(Red.)

Refleksje z Pragi i Paryża. Nadzieje po maju 1926

Czesław Bobrowski

BAGAŻ wywieziony z Pragi i z Paryża był dość odmienny. Praga i Czechosłowacja to szkoła faktów, Paryż — to szkoła kategorii myślowych i analiz. Przy wszystkich różnicach między Czechosłowacją a Polską nie były one tak wielkie, aby nie można było tych dwóch krajów i społeczeństw porównywać ze sobą. Ruś Podkarpacka i wschodnia część Słowaczczyzny przypominała Polskę „B". Czechy i Morawy jako całość wyprzedzały gospodarczo Polskę „A", ale niektóre obszary Polski „A" były nie gorzej rozwinięte niż obszar czesko-morawski. W czasie pobytu w Pradze zwiedziłem właściwe całą republikę. Stwierdziłem wówczas, że kontrast między ośrodkami dynamiki gospodarczej i najlepiej zagospodarowanymi miastami a ich otoczeniem nie był nigdy rażący. Po prostu wrażenie ogólne było takie, że jest to kraj rozwijający się harmonijnie w różnych komplementarnych dziedzinach i że zawsze obok nowego występuje stary, wartościowy dorobek.

Socjologicznie najważniejszym faktem było tu istnienie mieszczaństwa i drobnomieszczaństwa, którego przecież poza małym i wciąż jeszcze mało mi znanym Poznańskiem w Polsce było na lekarstwo. Obyczajowość drobnomieszczańska, odbijająca się także na zwyczajach studenckich, różniła się bardzo od obyczajowości inteligencji polskiej z jej śladami pochodzenia ziemiańskiego. Kiedy tylko nauczyłem się trochę czeskiego, zauważyłem, że terminem używanym na co dzień nie było wyrażenie „po odzyskaniu niepodległości", lecz przeciwstawienie ustrojowe: „za cesarza" i „za republiki". Jaskrawa odmienność występowała w sprawie stosunku do religii: po wyzwoleniu przewrócono nie tylko pomnik austriackiego marszałka Radetzkiego, ale również posąg Matki Boskiej. Dziedzictwo husyckie wyraziło się nie tylko w tym, ale i w błyskawicznym, choć krótkotrwałym sukcesie kościoła narodowego.

Instytucje parlamentarne funkcjonowały poprawnie, ale odnosiłem wrażenie, że rzeczywistość czeskiej demokracji była mniej piękna od pozorów. Stosunek do Słowaków nie był i nie mógł być podobny do polskiego stosunku do mniejszości narodowych. Teoretycznie Słowacy to był drugi naród, a nie mniejszość narodowa, czy jednak istniało pełne równouprawnienie? Ruś Podkarpacka była przedmiotem dziwacznej manipulacji. Rządzące partie polityczne traktowały ją jako depozyt, który powinien być kiedyś zwrócony Rosji — na razie prowadzono tam w szkołach rusyfikację dzieci ukraińskich. Z tym wszystkim codzienne życie demokracji wielopartyjnej było poprawne. W Pradze zobaczyłem, że policja „nie musi" rozpędzać pochodów robotniczych, przeciwnie, że ochrania te pochody, nawet wtedy, gdy organizowane są przez komunistów. W tej dziedzinie, podobnie jak i w dwóch wyżej wzmiankowanych, widać było jak na dłoni, czego nam brak, co warto byłoby skopiować, a czego nie da się przenieść.

Paryż to było oczywiście coś zupełnie innego. Francję, jako jeszcze wielkie mocarstwo kolonialne z wynikającymi stąd konsekwencjami, dzielił od innych krajów znaczny dystans rozwojowy. Również wyprzedzenie intelektualne w stosunku do innych stolic zachodnich było widoczne. Bagaż doświadczeń paryskich polegał właściwie tylko na dwóch elementach, ale za to niezmiernie ważnych. Pierwszy z nich to zrozumienie różnorodności świata i odmienności problematyki w przekrojach geograficznym i historycznym. Drugi — to tendencja do pewnej szczególnej formy myślenia racjonalnego, który sami Francuzi nazywają kartezjanizmem. Nie jest to sposób refleksji czy analizy wolny od niebezpieczeństw: można popaść w suche, logiczne, lecz nie nazbyt realistyczne konstrukcje. Ale jest to wspaniała przeciwwaga dla nadmiernego pragmatyzmu anglosasów i dla uczuciowej rozlewności polskiego myślenia.

Latem 1927 r. wróciłem do Warszawy

która w pewnym sensie stała się dla mnie, jak cała pomajowa Polska, czymś nie w pełni znanym. W czasie przewrotu majowego byłem w Pradze. Pod koniec maja 1926 r. szef pozwolił mi wyjechać na dwa dni do Warszawy, ale z potrąceniem czasu przejazdu było to zbyt mało. Prasa czeska prezentowała cały wachlarz ocen. Dla jednych był to nie tylko koniec demokracji w Polsce, ale dosłownie Finis Poloniae (z pewnym akcentem zadowolenia). Innym wypadki warszawskie pachniały rewolucją. Wreszcie byli i tacy — jakieś młodzieżowe pisemko — którzy oświadczali (zapamiętałem to dosłownie), że „wąs i spojrzenie tego Polaka" są więcej warte niż cały program socjaldemokratyczny. [...]

Na namysł miałem czas jakiś w Paryżu. Rezultat tego namysłu mogę określić jako sąd umiarkowany: nie byłem pewien, co przyniósł i przyniesie przewrót majowy, ale miałem nadzieję, że coś z tego może wyrosnąć pozytywnego. A skoro tak, to trzeba by z całą ostrożnością zająć aktywną postawę. W porównaniu z przeszłością studencką była to radykalna zmiana stosunku do spraw publicznych. A jednocześnie był to nowy punkt wyjścia dla wyboru zawodu.

Przestałem już myśleć o zawodzie prawniczym. Przedmiotem moich zainteresowań i terenem, na którym chciałem działać, była gospodarka. Jednakowoż działalność w zakresie gospodarki widziałem podobnie, jak znaczna część moich rówieśników, a więc jako swego rodzaju pracę organiczną z szerszym społecznym celem. Rozwianie się złudzenia „automatu niepodległości", nieudolność rządów sprzed przewrotu majowego (w rok po przewrocie nie wiedzieliśmy jeszcze, że pomajowe rządy też okażą się nieudolne) sprawiały, że pokolenie, o którym mówię, uznało za swoje zadanie budowę państwa, państwa bardziej nowoczesnego i zorientowanego przede wszystkim na problematykę społeczno-gospodarczą. W tej optyce praca w w prywatnym sektorze kapitalistycznym nie wchodziła w grę, podczas gdy praca w administracji gospodarczej zyskiwała wyższą rangę, przestawała być „karierą urzędniczą", lecz wydawała się współudziałem w umacnianiu niepodległego państwa. Obok pracy w aparacie państwowym pociągała mnie działalność publicystyczna. Wreszcie — byłem spragniony kontaktów z podobnymi do mnie, wytworzenia środowiska o pokrewnej postawie. W ciągu trzech lat wszystkie te trzy kierunki działania zakończyły się nieoczekiwanym sukcesem: tzw. kariera urzędnicza rozwinęła się bardzo szybko, start publicystyczny nastąpił już w roku 1928, a w roku 1930 powstała pokoleniowa grupa „Gospodarki Narodowej" i jej organ, którego byłem redaktorem.

Start zawodowy

okazał się niezbyt łatwy, ale w końcu koledzy, którzy już od dwóch lat pracowali zawodowo, wprowadzili mnie w sposób normalny, furtką, do Józefa Kożuchowskiego — dyrektora departamentu, a później wiceministra przemysłu i handlu, kierowanego wówczas przez Eugeniusza Kwiatkowskiego.

Otwarty i życzliwy dla młodych Kożuchowski miał zasłużenie mocną pozycję, zwłaszcza że łączyły go zarzewiackie, przyjazne stosunki z ministrem Kwiatkowskim. Zgoda Kożuchowskiego przesądziła sprawę — zostałem skierowany do departamentu handlowego, który zresztą zajmował się głównie handlem zagranicznym. Po drodze wystąpiły trudności techniczne — brak etatu — wskutek czego zostałem zaangażowany o dwa szczeble niżej, niż to powinno było mieć normalnie miejsce. Nie miałem wyboru. Powiedziałem sobie po prostu, że będę musiał zdobyć jakieś dodatkowe źródło zarobków. W departamencie handlowym pierwsze pytanie dotyczyło znajomości języków. Odpowiedziałem — francuski (mówiący po francusku stanowili w tym departamencie większość), drugi język — rosyjski, znany mi już mniej więcej od dzieciństwa. W konsekwencji przydzielono mnie do referatu rosyjskiego, obejmującego również Persję i Afganistan. Ten referat był uważany w ministerstwie za ślepą uliczkę: nie liczono na wzrost obrotów ze Związkiem Radzieckim, a z urzędniczego punktu widzenia nie dawał on szansy zrobienia kariery i wyjazdu na atrakcyjną placówkę radcy handlowego. Dlatego też kierownikiem referatu nie był któryś z młodszych, wykształconych, obiecujących kolegów, lecz pan radca Gagatnicki, dobrotliwy starszy pan, nie pozbawiony śmiesznostek, z zawodu buchalter.

Ta rzekomo ślepa ulica okazła się w moim wypadku opatrznościowa z punktu widzenia zawodowego, nie mówiąc o tym, że pozwoliła mi w ciągu pięciu najbliższych lat zapoznać się z nie docenianą i nie znaną problematyką radziecką. W kilka miesięcy po rozpoczęciu pracy przyszło mi uczestniczyć (jeśli tak można powiedzieć, siedząc w ostatnim rzędzie krzeseł) w rokowaniach polsko-irańskich. Nie była to duża sprawa, ale okazała się bardzo trudna: przy stosowaniu normalnych stawek celnych żaden produkt irański, poza dywanami, nie był konkurencyjny. Trzeba więc było wymyślić sposób obejścia klauzuli największego uprzywilejowania. Przypomniałem sobie to, czego mnie nauczono w Paryżu, i wynalazłem odpowiednio wykrętne formułki. Równocześnie odkryłem, z czego na ogół nie zdawano sobie sprawy, że rynek radziecki — w związku z pierwszą pięciolatką — może się stać dla nas atrakcyjny (pierwsze powiewy kryzysu, który dotknął hutnictwo polskie, miały to potwierdzić). Konsekwencją tego był niesłychanie elegancki gest mego bezpośredniego szefa, który oświadczył, że jego pomocnik ma dużo większe od niego kwalifikacje i zaproponował powierzenie mi samodzielnego kierownictwa referatu. W rok później, a w dwa lata zaledwie po rozpoczęciu pracy w MPiH, omalże nie zostałem radcą handlowym w Moskwie. Ówczesny radca podał się do dymisji i wrócił do Warszawy. Nie otrzymał jednak stanowiska, na które liczył, wobec czego cofnął dymisję. Dyrektor departamentu handlowego Mieczysław Sokołowski zadecydował, że należy mi się jakaś rekompensata za zawód, wobec czego wysłał mnie na trzy miesiące do Moskwy, podczas kiedy pan radca musiał na ten czas pogodzić się z zastąpieniem mnie w referacie i pobieraniem mego skromnego uposażenia. Po powrocie z Moskwy przypadła mi nowa funkcja — zastępcy komisarza rządowego towarzystwa „Polros", polskiego akcjonariusza mieszanego towarzystwa „Sowpoltorg". [...] Tu wspomnę o doświadczeniu, które wyniosłem z „Polrosu", a zachowałem na lata w pamięci: otóż nie ma nic gorszego, niż dublowanie funkcji dyrektora przedsiębiorstwa nieodpowiedzialnym nadzorcą. Nie mówię tu o nadzorze hierarchicznym, kiedy dane przedsiębiorstwo jest częścią większej całości, lecz o nadzorze z zewnątrz, z boku. Przy czym jest obojętne, czy nadzorca nazywa się komisarzem, czy jakkolwiek inaczej. Chodzi po prostu o to, że w najlepszym razie odpowiada on za popełnione błędy, a nigdy za zaniechanie słusznych inicjatyw.

Do tego niezwykle szybkiego awansu i rozszerzania pola mojej działalności obok przypadku przyczyniły się także czynniki szczególne. Dyrektor Sokołowski, człowiek niezmiernie inteligentny i utalentowany, pochodził ze środowiska poważnie zruszczonego, a przez pierwszą żonę Rosjankę wszedł w kontakt ze środowiskiem skrajnie szowinistycznym i reakcyjnym. Po rewolucji i przyjeździe do Polski przeszedł gwałtowny proces repolonizacji, który spowodował ostrą niechęć do wszystkiego, co rosyjskie. Tym tłumaczę sobie fakt, że ten bystry i trzeźwy człowiek po wojnie znalazł się w widmowym rządzie londyńskim jako minister spraw zagranicznych. Niechęć do Rosji i Rosjan przybierała u niego postać reakcji nadających się do psychoanalizy. Pamiętam powiedzenie Sokołowskiego: „Mogę zrozumieć, jeżeli ktoś mówi, że dwa razy dwa równa się pięć, ale nie mogę zrozumieć Rosjan, którzy twierdzą, że dwa razy dwa równa się lampa". Ta swoista alergia dyrektora i pewna pasywność naczelnika wydziału z mego punktu widzenia były o tyle korzystne, że dawały ogromną swobodę działania, aż po bezpośredni dostęp do ministra. Skorzystałem z tego dla zbudowania i przeforsowania dwóch koncepcji, nie pozbawionych pewnego znaczenia.

Pierwsza to przyznanie gwarancji państwowej na kredyty udzielane przez eksporterów odbiorcom radzieckim. Napięcie bilansu płatniczego ZSRR było w tym czasie niesłychanie ostre, w związku z czym stopa dyskontowa na weksle radzieckie stosowana przez banki zachodnie i przez swoistą giełdę w Rydze dochodziła do 30 i więcej procent. Przedsiębiorstwa polskie nie były zdolne zachowywać weksli w portfelu, a przy półtorarocznych czy dwuletnich kredytach przy procencie wolnorynkowym transakcje stawały się rujnujące — udzielenie gwarancji państwowej pozwalało na dyskonto po normalnej stopie bankowej polskiej czy zachodniej. Trzeba było wielu wysiłków i nacisku ciężkiego przemysłu, aby przezwyciężyć opór ignoranckiego dygnitarza, który na wszystkie argumenty miał tylko jedną odpowiedź: „A kiedy właśnie przeczytałem o zaprotestowaniu weksli radzieckich w Rydze" (co wtedy nie miało miejsca).

Druga sprawa dotyczyła warunków eksportu radzieckiego do Polski. Nie można było zwiększać, i to w szybkim tempie, eksportu polskiego do ZSRR bez jakichś ułatwień dla radzieckiego wywozu do Polski (bardzo zresztą skromnego). Okazało się, że przyznanie klauzuli największego uprzywilejowania towarom radzieckim ze względów politycznych nie wchodzi w grę, trzeba było więc znowu obejść tę klauzulę. Stało się to już podczas mojej pracy w „Sowpoltorgu" w postaci przyznania temu towarzystwu ulg celnych do wysokości normalnych ceł. Po dzień dzisiejszy nie mogę zrozumieć, dlaczego metoda „prawą ręką za lewo ucho" miała być politycznie lepsza niż proste przyznanie KNU.

Start publicystyczny

nastąpił niemal równocześnie ze startem zawodowym, a jego terenem był literacko-polityczny miesięcznik „Droga", z którym związałem się na przeszło rok. [...] Zanosząc do redakcji „Drogi" mój pierwszy artykuł polityczny (jeden z bardzo niewielu, jakie zdarzyło mi się w życiu napisać), miałem dużo sympatii do eklektycznej i liberalnej linii pisma, dla którego tylko marszałek Piłsudski był tabu. Jeśli o mnie chodzi, nigdy nie czułem się członkiem obozu piłsudczyków i nie związałem się z nim w żaden sposób organizacyjny. Natomiast jeśli chodzi o mój stosunek do osoby Piłsudskiego, to poczynając od czasów lubelskich, aż po jego śmierć, był żywy, chociaż zmieniały się elementy tego stosunku i oceny intelektualne polityki marszałka i polityki prowadzonej pod jego auspicjami. Punktem wyjścia były oczywiście wspomnienia, właściwie jeszcze dziecinne, o Komendancie, niezmiernie popularnym w środowisku postępowej lubelskiej inteligencji. Do przewrotu majowego niewiele myślałem o naczelniku państwa i marszałku. Natomiast po przewrocie bez trudności poddałem się atmosferze zaufania i nadziei, która wówczas ogarnęła wszystkie elementy postępowe, łącznie z komunistami. Na przełomie roku 1927/28 widać już było pierwsze ryzy, ale głębsza zmiana postaw nastąpiła dopiero później.

(cdn.)

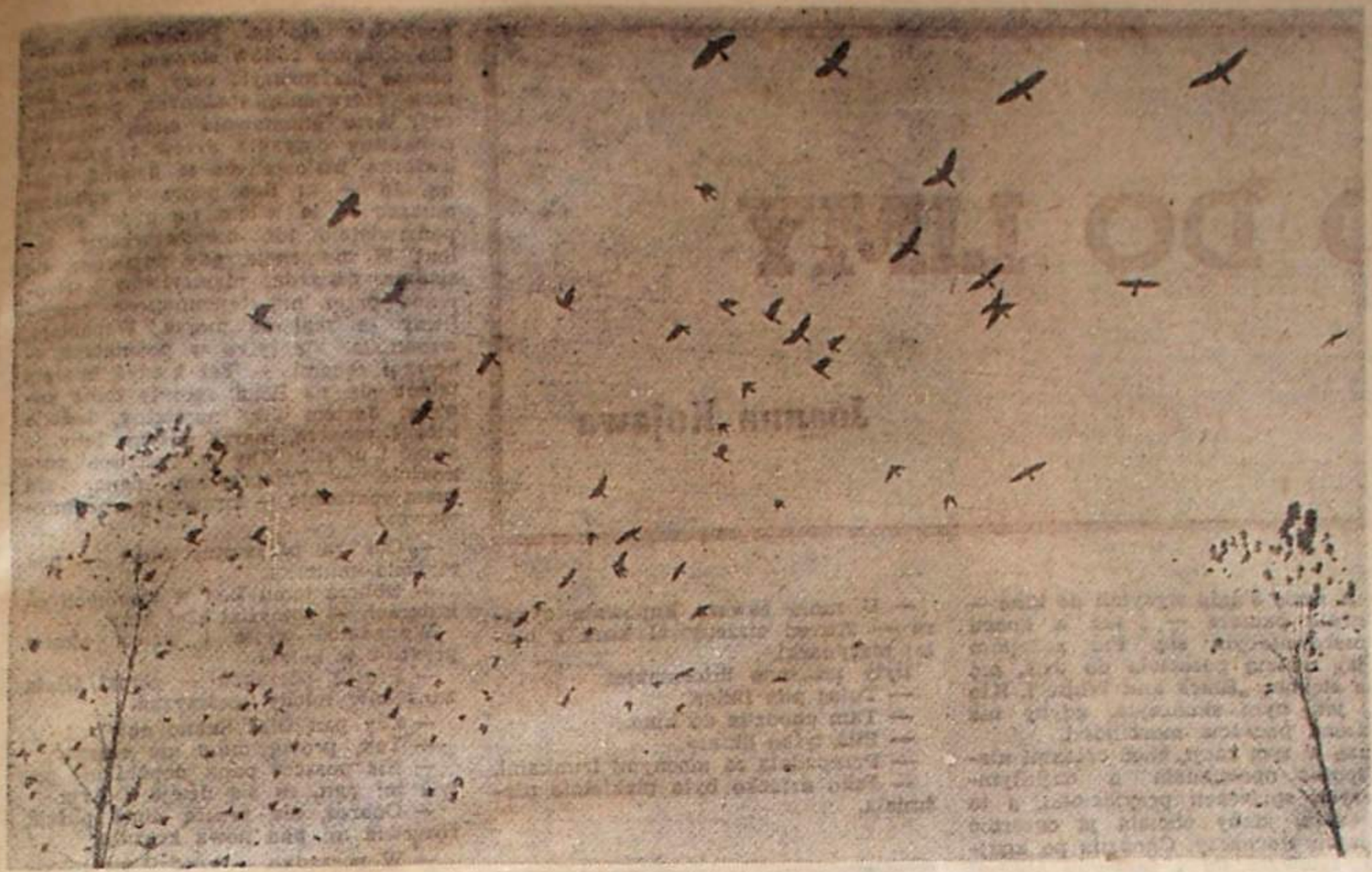

Fot. Waldemar Stępień

Rzeź lasu (2)

Henryk Pająk

CZY huragany są specjalnością naszych czasów i klęską tylko polskiego drzewostanu? Tego nie wiadomo, aczkolwiek naukowcy nie wykluczają, że są one przynajmniej częściowym rezultatem zakłóceń w przyrodzie. W każdym razie kalendarz polskich dotkliwych wichur zgęstniał w ostatnich latach: straszliwy huragan w listopadzie 1981 roku (18 mln m sześc. wywrotów), trzy huragany w 1982 roku, wichura w styczniu 1983 r., huragan z marca ub.r. oraz ostatnie listopadowe wiatry, które powaliły spore połacie lasów w Beskidach, a następnie w Zakopanem i na całym Podtatrzu. Trąba powietrzna nad leśnictwem kraśnickim miała taką siłę, że 140-letnie sosny łamały się jak patyki. Daje do myślenia wicher z marca ub.r.: był tak silny i o takim zasięgu, że wody morskie, pchane przez cieśninę duńską, podniosły poziom Bałtyku o pół metra, co spowodowało zalanie żyznych gleb na Żuławach.

Za nadzwyczajne w sile, skutkach i skali klęski żywiołowe nie można obwiniać tylko naszych czasów. Przekazy historyczne mówią o wielu podobnych klęskach w dalekiej przeszłości. Podobnie rzecz się ma z inwazjami szkodników. Wystarczy wspomnieć przedwojenny wylęg choinówki (1929 r.), która zniszczyła ponad 100 tys. ha w Borach Tucholskich i Puszczy Noteckiej.

W sprawie nagłej rozrodczości danego szkodnika naukowcy nie wypowiadają się jednoznacznie. Impulsy do lawinowej rozrodczości bywają nagłe i niejasne, zaś niektóre szkodniki stają się zdolne nawet do zmiany tradycyjnych obiektów żerowania. Współczesnym tego przykładem jest wskaźnica modrzewianeczka. Jak sama jej nazwa wskazuje, żeruje ona na modrzewiu: w ostatnich czasach jednak zasmakowała w karkonoskich świerkach. Brudnicę mniszkę w czasach powojennych masowo tępiono już czterokrotnie i na ogół skutecznie. Zmienność terytorialna oraz lawinowa rozrodczość po długim okresie uśpienia to, jak utrzymują leśnicy, stałe potencjalne zagrożenie, które ani nie dotyczy tylko szkodników leśnych (bo także roślinnych), ani też nie stanowi współczesnej, wyróżniającej się plagi naszych czasów. Stałość tych zagrożeń powinna skłaniać do ciągłej czujności i działań profilaktycznych. Można chyba, za wyraźne niedopatrzenie tych wymogów potraktować skutki ostatniej katastrofalnej eksplozji brudnicy mniszki. Pojawiła się nie od razu tak masowo i nie na powierzchni około dwóch mln hektarów, a więc na obszarze 20-krotnie większym od wspomnianego zasięgu choinówki w 1929 roku. Chociaż w szczytowym momencie inwazji brudnicy zaangażowano dziesiątki samolotów i śmigłowców, to jednak rezultat odsieczy okazał się znikomy. Dlaczego? Leśnicy odpowiadają — **my zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy.** Jeśli tak, to jesteśmy niemal bezradni wobec perspektywy kolejnej klęski.

Jaki jest stan wiedzy społeczeństwa na temat sytuacji środowiska leśnego? Wiele wskazuje na to, że jest on wyrywkowy i szablonowy. Na ogół wiemy, że lasy „nie są takie jak dawniej", za naszej czy ojców młodości. Wiemy o szkodnikach, huraganach, o nadmiernym cięciu, o niedobrej tradycji choinek świątecznych, nieco więcej o „niekorzystnym" oddziaływaniu przemysłu. Pomimo dość częstych, niekiedy rejtanowskich publikacji w prasie, wystąpień na naradach resortowych, interpelacji sejmowych — nie posiadamy syntetycznego i obiektywnego obrazu kondycji polskich lasów. Obecnie nie jest ona jeszcze katastrofalna, lecz poprzez kontaminację niespotykanych dotąd i potęgujących się zagrożeń katastrofa staje się nieuchronna w perspektywie dziesięcioleci. **Nie istnieje powszechna świadomość, że kontynuując stan zagrożenia, błędy w gospodarce leśnej, wodnej i glebowej, odbieramy przyszłemu pokoleniu szanse na egzystencję w umiarkowanej równowadze ekologicznej.**

Zresztą na prawach dygresji warto zauważyć, że pojęciem ekologii posługujemy się niezbyt ściśle. Słowo to stało się powszechnie przyjętym kluczem, ze względu na jego efektowny katastroficzny posmak. Słowo to jest zbitką wyrazów greckich „oikos" (gospodarstwo) i „logos" (nauka, wiedza), zatem powinno oznaczać umiejętne, naukowe, mądre gospodarowanie. Ernst Häckel, zmarły w 1919 roku lekarz, zoolog i filozof, stworzył tę zbitkę dwóch słów greckich na oznaczenie nauki o wzajemnych stosunkach między organizmami a ich środowiskami i w takiej formule ekologia funkcjonowała do połowy naszego wieku. Potem stopniowo stawała się elementem polityki. Wyjaśnia tę znamienną ewolucję Horst Bieber w „Die Zeit" z 14 października 1983 r. (tłum. „Forum" z 3 listopada).

Nowa polityczna funkcja i siła przetargowa ekologii sprawia, że poprzez globalne zagrożenie środowiska, w połączeniu z perspektywą głodu, kresu źródeł energii i zgubnych skutków przemysłu — powstają międzynarodowe, instytucjonalne formy przeciwdziałania groźbom zagłady ekologicznej, jak np. FAO, Klub Rzymski, komisje ONZ, umowy o zakazie eksplozji nuklearnych w atmosferze czy też całe partie polityczne, jak np. partia „zielonych" w RFN. Działalność tych organów, głównie o charakterze międzynarodowym, obraca się w orbicie polityki światowej i jest, jak na razie, żałośnie nieskuteczna, pełna hipokryzji, sprzeczności i niekonsekwencji. Jest jednak werbalnie spektakularną, „budząca nadzieję".

Natomiast niszczycielska działalność człowieka w stosunku do swojego środowiska jest znacznie mniej katastroficzna, gdy rozpatruje się przypadki jednostkowe. Martwe ryby, zalana ropą enklawa morza, martwy las na obszarze kilkuset hektarów wyglądają wprawdzie przerażająco, ale patrzący na to wiedzą, że to „wypadek przy pracy"; że przecież dalej — za plamą ropy, za martwym lasem — morze jest czyste, las zielony i pełen ptaków. **Ponure w tym wszystkim jest jednak to, że suma tych katastrof nie absorbuje wyobraźni ogółu. Jeszcze gorsze to, że odpowiedzialność bezpośrednich winowajców zwykle rozwadnia się, kary są śmiesznie niskie, rozmazywane w różnych arbitrażach, ekspertyzach, konsultacjach, odwołaniach.**

W szczególny sposób odnosi się to do strat leśnych. Tu z reguły sprawcami są przemysłowi potentaci, a zatem i przeciwnicy niepośledni. Ich siłę potęguje dodatkowo tzw. rachunek ekonomiczny: wszak z powodu „ujemnego" wpływu na środowisko nie sposób zamknąć kopalni siarki, fabryki nawozów, tej czy innej huty. Dodatkowym ich atutem jest powolność procesów degradacji środowiska, rozpisana na lata.

Prześledźmy to na przykładzie dwóch gigantów — tarnobrzeskich kopalni siarki oraz puławskich „Azotów".

Tarnobrzeski „Siarkopol" postawiono w stan oskarżenia z tytułu strat w drzewostanie Puszczy Sandomierskiej, spowodowanych przez emisję fluoru i siarki do atmosfery. Przed Główną Komisją Arbitrażową specjaliści „Siarkopolu" dowodzili, że siarka z wodą się nie łączy! A przecież głównym oskarżonym jest fluor, który powstaje przy przerobie siarki. Innym powodem strat w drzewostanach Puszczy Sandomierskiej (to znaczy w jej resztkach) jest osuszanie gleby w procesie wydobycia siarki. Przed jej wypłukaniem osusza się ziemię do głębokości 40 metrów. Taką metodę stosuje się w kopalniach Jeziorko i Grzybów. Brak wody jest tam bezpośrednią przyczyną usychania drzew, szczególnie nasilającego się w okolicach Budy Stalowskiej. Są też inne skutki — zapada się ziemia nad wypłukanymi pokładami siarki. W okolicy Budy Stalowskiej tworzy się olbrzymia niecka o głębokości kilku metrów. Po zakończeniu wydobycia i osuszania gleby, zaleje ją kiedyś woda powierzchniowa. Powstanie więc bagno, nieużytek. Jeszcze inny jest skutek w kopalni Machów, gdzie wydobywa się siarkę metodą odkrywkową. Gigantyczna hałda ziemi, usypana podczas zdejmowania wierzchniej warstwy, pod wpływem deszczów spływa ku brzegom Wisły. Już przerwała na znacznym odcinku szosę Baranów — Dębica; znaczny odcinek tej trasy został wyłączony z ruchu. Poczekajmy na skutki, gdy góra odkrywkowa dojdzie do Wisły!

Wróćmy jednak do samych lasów. Oto puławskie „Azoty". Po 16 latach niszczenia drzew wyziewami saletry i mocznika, gdy 700 ha lasu stało się już tylko wspomnieniem; gdy w środkach przekazu ukazało się na ten temat tyle publikacji, że stanowią one sporą bibliotekę; gdy wielu naukowców zrobiło na tym konkretnym poligonie uczone doktoraty — teraz ze zdumieniem dowiadujemy się z ust dyrektora naczelnego, że to nie „Azoty" zniszczyły puławskie lasy. To „kolega" — elektrociepłownia Kozienice. Oto wypowiedź dyrektora Tadeusza Piaseckiego w wywiadzie udzielonym dziennikarzowi „Kuriera Lubelskiego" (28—30 października ub.r. „Wielkiej sprawy wielkich „Azotów"):

„Nasz komin wyrzuca ponad 2 tony SO_2 na godzinę [...]. Ale na takim samym węglu pracuje elektrociepłownia w Kozienicach. Wiatr zwykle wieje w takim kierunku, że niesie SO_2 z Kozienic i Puław w jedną stronę, na Żyrzyn, Kurów, Niemce i Łęczną. SO_2 opada i szkodzi lasom. Nasz zakład emituje również tlenek azotu, ale są to wielkości nieznaczne w porównaniu z emisją SO_2".

Tak więc współwinnego już mamy. Dla dyrektora nie są tu ważne: ani chronologia zniszczeń, ani definitywne ustalenia wielu uczonych ciał, instancji i instytucji. **Chronologia zaś jest przejrzysta: lasy puławskie umierały już wtedy, gdy Kozienice dopiero uruchamiały swój pierwszy piec.** Co do fachowych ustaleń, to sięgnijmy po chyba najbardziej autorytatywne: do ostatniego „odczytu" komputera w Centrum Informatyki Ministerstwa Leśnictwa. Wynika z niego, że wina za zniszczenia lasów puławskich rozkłada się następująco: w 43 procentach jest to wina emisji saletry; w 3,7 procenta — elektrociepłowni „Azotów", w 28 procentach — zakładu mocznika „Azotów" oraz w 24 proc. — zakładu kwasu azotowego. A więc emisje elektrociepłowni mają wręcz znikomy udział — w zbliżonym zatem procencie mają swój udział w zniszczeniach lasu piece Kozienic. Należy też przyjąć, że z powodu odległości Kozienic mają one jeszcze mniejszy wpływ, niż te 3,7 proc. pyłów puławskich. Tymczasem 95 procent własnej ewidentnej winy przerzuca się w połowie na konto „kolegi"! Chciałbym widzieć minę szefa Kozienic, gdy dowiaduje się w „Kurierze Lubelskim" z ust dyrektora „Azotów", że to jego elektrociepłownia zniszczyła — ex aequo z „Azotami" — 700 ha puławskich lasów.

Zostawmy obu dyrektorów nad tym dylematem i zatrzymajmy się nad sprawą odszkodowań za zniszczone drzewa. Otóż zniszczone żywe drzewo staje się już tylko drewnem, metrem kubicznym. Nieważna jest gleba, na której wyrosło, nie ma ceny zniszczone środowisko itd. Zakład przemysłowy, który niszczy las, płaci nie za las, tylko za drewno. Dopóki będzie działał ten zakład, las tu nie wyrośnie. Gdy np. za 100 lat „Azoty" przestaną istnieć, gleba musi czekać wiele następnych lat, aby mogła przyjąć się pierwsza sadzonka sosny. Potem któreś tam pokolenie naszych wnuków musi czekać 50—80 lat, aż wreszcie sadzonka stanie się drzewem, na koniec drewnem. Za 200-letnią dziurę w substancji narodowej, za księżycowy krajobraz puławskich „Azotów" — dziś nie będzie odszkodowania!

Dokończenie na str. 10

STĄD DO LIMY

Joanna Kujawa

Swoją czarną panterę nazwała Limą.

— Dlaczego Lima? Dlatego, że lubię Marqueza — odpowiadała.

— Ale on nie jest z Limy.

— To nic. Oczywiście, że nie może być z Limy, skoro ona jest panterą, a on Marquezem.

Arte lubiła swoją dzikuskę i dogadzała jej, jak mogła. Każdego popołudnia wychodziła z nią na spacer, by uczynić zadość intelektualnym upodobaniom przyjaciółki. Zazwyczaj nie kłóciły się, czasem tylko Lima miała żal o cygara.

— Doprawdy, mogłabyś zostawić choć sztukę dla mnie — skarżyła się.

Jej właścicielka na każdy spacer zabierała pudełko cygar i zawsze je wypalała. Tego popołudnia, kiedy Piotr zobaczył je obie, nie mógł się zdecydować, która z nich jest atrakcyjniejsza. Wybrał Arte. Druga dama długo nie potrafiła mu tego zapomnieć. Piszę — dama, bez jakiejkolwiek ironii, ona była uosobieniem wdzięku. No, cóż, lecz Arte też nic nie brakowało, wręcz przeciwnie! Nie na darmo stary Adam mlaskał jęzorem na jej widok i mówił do swojej starej:

— Niech diabli tę dziwkę!

Tegoż więc popołudnia była ubrana w zieloną sukienkę, a w ustach trzymała ogromne cygaro. Na smyczy, obok szła pantera.

— Przepraszam panią — zatrzymał je grzecznie Piotr. — Czy daleko stąd do Limy?

— Naturalnie, że blisko — odpowiedziała Arte (Bo jakżeż by było inaczej) I poszli we trójkę na kawę. Czarną, mocną, doskonałą.

— Zmysły mi się burzą od tego napoju — przyznała panienka w zielonej sukience

— I tym wygrała sprawę — opowiadała później stara już pantera — Wygrała sexem — dodawała sztywno — Ja byłam zbyt przeintelektualizowana. Ale jak tu chłopu przetłumaczyć, że nie tylko sex się liczy?

Pewnie tak właśnie wyglądało, skoro zaraz potem poszli oboje do wynajmowanego przez Arte pokoju, a pantera musiała pilnować pod drzwiami, żeby Aldona niczego nie zwęszyła i nie weszła w nieodpowiednim momencie. Ale nikt nie docenił poświęcenia Limy, a już na pewno nie jej właścicielka. Zupełnie zapomniała o popołudniowych spacerach, spędzając wszelkie zachody i wschody słońca w pokoju z Piotrem

— A mnie ciągle wysyłali do kina — dodawała pantera — i tak w końcu zmanierowałabym się. Pić zaczęłam (to jej zresztą pozostało do dziś, nie rusza się bez „Black and White"). Kto wie, jak bym skończyła, gdyby nie wrodzone poczucie moralności.

Dużo w tym racji, choć czasami niepotrzebnie opowiadała o najintymniejszych sprawach przyjaciółki, a to wyglądało, jakby chciała ją oczernić w oczach słuchaczy. Chodziła po knajpach, zalewała się z facetami obcymi i znajomymi.

— Po prostu szlajałam się — mówiła.

Jednak wrodzone poczucie moralności okazało się silniejsze. Dała sobie spokój ze spelunkami, poszła do szkoły. Początkowo nie szła jej nauka, czuła się pokrzywdzona i zdradzona. Poza tym dawał o sobie znać uraz po Piotrze. Wybrał inną. Pantera bała się, że przerodzi się to u niej w kompleks i niechęć do mężczyzn. Tradycja przekazała nam najdziwniejsze podania. Najbardziej nieprawdopodobne to, które utrzymywało, że Lima była dzieckiem Arte i Piotra. Oczywista bzdura, bo skąd Lima by go znała przed urodzeniem. Inne podanie potwierdza fakt, jakoby pantera była nieślubnym dzieckiem, ale nic nie wiadomo o jej ojcu. Nie wspomina się też, żeby matką była Arte. Są to wiadomości z gruntu fałszywe, gdyż nawet spowinowacony z Limą Filip powtarzał nieraz, że Arte jedynie matkowała jej, lecz nigdy nie urodziła pantery.

Dane o życiu przyjaciółek były tak kontrowersyjne, że pewien Skandynaw Olaf przyjechał po prostu do miasteczka w celu zbadania faktów. Z dworca kolejowego, wyklejonego zdjęciami Arte i Limy, trafił prosto do Aldony. Ta kobieta wyjątkowo nie cierpiała wyżej wspomnianych osób:

— Obie były wykształcone i okropnie przemądrzałe, a jedna to nawet puszczała się z Piotrem.

Wszędzie, w którąkolwiek zwrócił się stronę, błądziły cienie Arte, gdzieniegdzie ktoś przywracał jej obecność słowem wspomnienia. Wielość legend bezpowrotnie zatarła niewyraźną już i tak sylwetkę.

— Gdzie by później była, tu się wychowała i ukształtowała, Arte jest nasza bezwzględnie — cedził, paląc grube cygaro Alfred.

— Napijesz się tequili? — dolewając sobie nieprzerwanie trunku, pytał Olaf.

— U mnie zawsze kupowała cygara — Alfred strzepywał kurz z białej marynarki.

Były też inne informacje:

— Tutaj piła likier.

— Tam chodziła do kina.

— Piła tylko likiery.

— Przepadała za mocnymi trunkami.

— Jako dziecko była piekielnie nieśmiała.

DEBIUT

— Taka niezdarna, często potykała się z nieśmiałości.

— Wyglądała na kogoś, kto wie, czego chce.

— Mądrzyła się przy byle okazji.

— Uosobienie kobiecości.

— Ekscentryczna do granic możliwości.

— Przyjaźniła się z czarną panterą i wężem Boa.

— Nie da się wyliczyć tych, z którymi żyła.

— Wychowywała się sama. Ojciec zostawił jej matkę.

— Ponoć uciekła z domu.

— Strasznie zarozumiała.

— Pamiętam ją jako bezczelne dziecko.

— Piekielnie ładna.

— Jak chcesz znaleźć coś ciekawego o niej, idź do Alfonsa Boa.

Nie pozostawało nic innego. Olaf siedział porządkując notatki i czekał na Węża. Między jednym drinkiem a drugim zastanawiał się, czy ten Boa jest chociaż oswojony.

— Co za upał — westchnął ktoś.

Olaf podniósł głowę. Przed nim stał elegancki Boa z czarnym wąsikiem, bielutkimi, drapieżnymi zębami. Miał na sobie ładny melonik.

— Tak, te tropiki — przyznał Skandynaw i zaczęli rozmowę o Arte.

— Lubiłem tę dziewczynę za jej ciągoty artystyczne. Zresztą, ona właśnie odkryła przecież nową dziedzinę sztuki. Nauczyła świat malować poematy. Wynajdywała jakiś rozkosznie kolorowy kącik nad zatoką i tworzyła na skraju przepaści zawsze o zachodzie słońca. Pamiętam, potrafiła dokonać cudów słowem i pędzlem. Słońce już mrużyło oczy, świeciło gorącą czerwienią spalonych pomarańczy, Arte emanowała cichą muzyką, delikatnie dotykała drzew i gorących kwiatów malowanych tą dziwną sztuką. Ja — tu Boa poprawił zabójczą muszkę — ja wiłem się u jej stóp i podziwiałem ten niepowtarzalny talent. W momencie, gdy pojawiała się siódma gwiazda, niszczyliśmy stworzoną przez nią tajemniczość, rzucaliśmy ze skał do morza. Wspaniała, wspaniała. Nie tylko w poematach — błyskał zębami. — Też kiedyś miałem talent, ale, na Boga, zgubiły mnie kobiety. Jestem taki namiętny, ledwie którąś zobaczę, marzę o tym, żeby ją objąć i udusić. Mhy — westchnął rozkosznie. — Przepraszam pana, ale mam spotkanie — mrugnął porozumiewawczo.

— Cóż za przystojny facet — pomyślała kelnerka.

— Dobrze temu Boa w ciemnych okularach — pomyślał ktoś inny.

Wypadało wyjść i wziąć zimny prysznic w hotelu.

— Proszę poczekać — złapał Olafa za rękaw młody mężczyzna.

— Czy pan Olaf Skandynaw?

— Tak, proszę mnie nie szarpać.

— Nie puszczę pana, dopóki nie powie mi pan, co się dzieje z Arte.

— Dobrze, ale proszę mnie puścić, rozerwie mi pan nową koszulę.

— W porządku — zgodził się młody człowiek — Szuka pan Arte?

— Szukam prawdy.

— Znalazł ją pan? — niecierpliwił się młodzieniec.

— Na razie nie. Tyle jest prawd.

— Ja mówię o Arte!!!

— Ja też — przyznał poważnie Skandynaw.

— Kim pan właściwie jest?

— Przecież mówię, poszukiwaczem. A pan?

Młody człowiek machnął ręką.

— Literatem i kocham Arte.

— Jak to właściwie z nią było?

— Jak? — zdziwił się Literat — normalnie. Kiedy ją poznałem, była mężatką. Wie pan? To ten znakomity naukowiec. Pracował w takim wielkim Instytucie. Podobny był do pana, też zajmował się Prawdą. Tylko inaczej. Nie szukał, ale chciał ją stworzyć. Nie mógł się zgodzić z Arte w pewnej kwestii. Zostawiła go więc, a mnie zabrała ze sobą do Australii. Pan wie, że płynęła tam tratwą? To znana sprawa. Płynęła ze mną. Usiłowałem zamknąć prawdę w kilkusettysięcznostronicowych woluminach. Ale ciągle było to mało i mało... Pewnego dnia powiedziałem Arte, że całą prawdę umieściłem w swojej książce. Podałem jej małą kartkę. „Zniszczyłem tamte nędzne bzdury", powiadomiłem ją. Na kartce napisałem jedno słowo: JA i ona zrozumiała. „Pierwszy raz widzę coś, co jest jednocześnie piękne i prawdziwe, a przez to madre", szepnęła. Od tamtej chwili życie moje ogarnął szept. Tratwa nie dotarła do Australii, a zupełnie gdzie indziej. Płynęła tam, gdzie chciała. Arte bez końca czytała moją książkę, nieustannie zachwycona. Moje życie wypełnił szept. Szept ciał zagubionych w sobie i w nocy rozpiętej nad jedyną prawdą... Słowem JA. Tak bardzo kochałem Arte i świat wypełniony szeptem naszych ciał. Jakże zazdrościłem temu Boa, że mógł ją opleść cała. Arte przecież malowała świat. Jej mąż zniszczył wszystko, by stworzyć prawdę. Wyleciał w Kosmos

AKCJA AK „KUŹNICA"

Dokończenie ze str. 3

przerzutu patriotów udających się przez „zieloną granicę" na Zachód, do wojska generała Sikorskiego. Jedna z dróg ucieczki z Polski wiodła przez biegnącą Sanem granicę pomiędzy Generalną Gubernią a terenami zajętymi przez Związek Radziecki. Dalej droga prowadziła w kierunku Węgier lub Rumunii. Z Błażowej do Sanu było w prostej linii około 12 km.

Dom, w którym mieszkałem, miał dobre położenie (można było dostać się do niego niepostrzeżenie i tak samo w sposób niezauważalny przez nikogo obcego opuścić go. To właśnie później sprawiło, że stał się on jedną z głównych „melin" dla konspiratorów, kursokonferencji szkoleniowych, sesji egzaminacyjnych, kursu szkoły podchorążych) — tutaj mógł więc znajdować się etapowy punkt przerzutu przez granicę. Wyraziłem na to wszystko zgodę, no i to był początek pracy konspiracyjnej.

Przybrałem pseudonim „Dewajtis". Moje wyszkolenie harcerskie uzupełniłem Kursem Szkoły Podchorążych i kilkoma krótszymi kursami wiedzy wojskowej. O awans oficerski w ZWZ-AK było bardzo trudno. W jesieni 1943 r. otrzymałem jednak stopień podporucznika, a po akcji „Burza" — stopień porucznika. Służyłem zarówno w oddziałach liniowych, jak i jednostkach organizacyjnych; byłem w 1942 r. członkiem Sztabu Inspektoratu Rejonowego AK.

W 1941 r. zauważyliśmy duże zainteresowanie Niemców nadgranicznymi fortyfikacjami obronnymi, leżącymi po stronie radzieckiej. M. in. w naszym domu, w Błażowej, usadowiła się grupa niemieckich oficerów artylerii pomiarowej. Z uwagą studiowali oni mapy, nanosząc cele artyleryjskie po tamtej stronie Sanu. To utwierdziło nas w przekonaniu, że Niemcy przygotowują się do napaści na Związek Radziecki. Rozwinęliśmy szeroką akcję wywiadowczą. Byłem odpowiedzialny za 30-kilometrowy odcinek wzdłuż Sanu; miałem zaprzysiężonych informatorów. Meldunki i mapy fortyfikacji niemieckich przekazywałem dowódcy inspektoratu — „Florianowi", majorowi Stanisławowi Ruśkiewiczowi. Został on później aresztowany w Krakowie na kontakcie z wywiadem radzieckim i zgilotynowany wiosną 1941 r. w Berlinie. Jego następca, kpt.-ppłk „Pług", był człowiekiem niezwykłej odwagi i charakteru, oficerem o wielkich zaletach bojowych. Spowijała go legenda bohatera, który pod Kutnem, na oczach generała Kutrzeby, „rozstrzelał" ze swego działka ppanc. — sześć niemieckich czołgów...

M. D.: — Wróćmy jeszcze do spraw „Kuźnicy"...

G. B.: — To była jednak tylko część mojej działalności konspiracyjnej, którą sobie cenię wysoko, i która dała mi najwięcej satysfakcji. Jestem przecież pedagogiem, poza pracą naukową pociągały mnie zawsze sprawy nau-

Rys. Jacek Grün

wraz z przyjaciółmi. Ona wysiadła ze statku. Razem z Limą postanowiły umrzeć na Ziemi. Wiem o tym od pewnego bezosobowego stworzenia, które mówiło, że widziało, jak świat ogarnięty pustką śmierci, ciszą końca, przyjął Arte i Limę na alejki zniszczenia. Świat cicho niknął, a piękna Arte i mądra Lima ginęły razem z nim. Niedawno spotkałem Limę, była zalana w sztok. Leżała na stole w pięknym czarnym futrze i z pijackim uporem powtarzała coś o totalnej pomyłce istniejących. Nie wiedziała, gdzie jest Arte. Potwierdziła relację Bezosobowości. Tak naprawdę to razem z Arte spaceruje po umarłym kraju. Tylko, wie pan, jak to pogodzić z tym, że my istniejemy, a ich teraz nigdzie odnaleźć nie można? — pytał z zatroskaniem.

— Najlepiej będzie wrócić do momentu, w którym widziałeś Limę.

Cofnęli czas, ale to nie pomogło. Tam, gdzie leżeć miała czarna pantera, nie było nic. Stał tylko smętny barman, który nie chciał odpowiadać na żadne pytania. Wracając do aktualności, spotkali Piotra.

— O! dzień dobry — przywitał się z nimi. — Opowiadał mi o was mąż Arte.

— On jest tutaj?

— Nie, tam — pokazał palcem w niebo. — Całkiem dobrze mu się u nas wiedzie.

— A Arte?

— Widziałem ją dzisiaj, jak spacerowała po Limie.

— Po Limie?

— Po Limie. Cóż w tym dziwnego, przecież lubi Marqueza. Nie wiedzieliście o tym? — zapomniałbym, kazała wam podać paczkę cygar. — Ooo!!! Filip idzie.

— Pyta pan, Skandynawie, co mógłbym powiedzieć o Arte. Nie wiem, co powinienem mówić, a czego nie. Może ona nie życzyłaby sobie tego. Widzi pan, ja nazywam się Filip Delacroix i jestem spowinowacony z Limą. Pantera imponowała mi. Bardzo imponowała, a ta druga... była taka ekscentryczna. Nie rozumiałem jej. Powiem, w jaki sposób poznała męża. Zapewne mówili już panu, że przyjechał tu sam. Na sympozjum naukowe. A do New Yorku wrócił z nią. Pokochał ją od razu. Była bardzo piękna. Dlatego wydała mu się prawdziwa. Moim zdaniem miała trochę nie po kolei w głowie. Na przykład nocą fosforyzowały jej zielone oczy. W dzień też się to zdarzało, ale rzadko. Na domiar złego, kto raz zobaczył, jak błyszczały, nie mógł o nich zapomnieć. Ile razy zapadał zmrok, setki mężczyzn zakradało się pod jej okna, by zobaczyć te fosforyzujące, zielone źrenice. Na to złapała męża, tak ja uważam. Gdy byli w Europie, Arte spodobała się pewna alejka w parku. Leżało tam mnóstwo żółtych, pachnących liści. Chciała się na nich kochać. Wybuchła z tego powodu awantura, bo on, oczywiście, nie zgodził się. Sam pan widzi, jaka ona była. Zresztą najlepiej pojechać do Limy, wszystkiego się pan dowie.

Łatwo mu było mówić, pantera znikła gdzieś z horyzontu. Może szuka Arte?

— Jedyny chyba przypadek przyjaźni piękna z mądrością — dumał Olaf. Jechał właśnie do Europy. Kto wie, gdzie one są. Nie ma sensu takie ciągłe włóczenie się po świecie. Ludzie różne rzeczy mówią, a najczęściej powtarzają, że takie facetki w ogóle nie istniały.

— Jak pan sobie wyobraża ich istnienie? — mamrotał dziadek, znajomy z podróży. — Ja mówię, one nie istnieją.

— Czyżby ten stary miał rację? — Olaf nerwowo palił papierosa. — Kawał życia straciłem na szukanie i nic. Tylko wciąż nowe hotele, żadnej stabilizacji. — Przygnębiony, postanowił pójść z dworca do hotelu piechotą.

— Och, przepraszam — zagrodziła mu drogę kobieta. — Nie wie pan, czy daleko stąd do Limy?

— Jesteśmy przecież w Paryżu — dziwił się.

— Co za idiota — burknęła pięknotka.

— Kochanie, tu jestem — pantera jednym susem znalazła się przy nich.

Olaf osłupiał. Chciał je jakoś zatrzymać. Ale Arte i Lima były już po drugiej stronie ulicy, by zniknąć w tłumie codzienności.

Tony Harrison

ARKA

Cisza oraz poezja własne mają rezerwy.
Wciąż gorzej rosną stworzenia policzone.
Naszej nicości najgłębszą gramatykę
język bliski zaniku najdoskonalej chroni.

Przecież nie tylko oryks, dront i wielka alka,
lecz i „noga", „noc", „źródło" z mowy zduszonych plemion
niezgrabnie poczłapały na monstrualną arkę,
w końcu języki ognia zakrzyknęły: ciemność!

Dziś, gdy już o wiele bardziej nie może być przyszłość
ciemniejsza i mniej określeń słońca się zachować,
gdy tak samo zwierzynę jak strzelbę myśliwską
nazywa szczątkowa Togo i Kornwalii mowa,
sławny, dopóki rzeczy nie zaszły za daleko,
bezgłośny kod Papuasów, o którym doniesiono,
z Wybrzeża Kości Słoniowej hipopotama pigmejów
i z Górnej Gwinei ropuchę jajorodną —

(lub opłakujmy w łacinie ich nadchodzącą śmierć,
potem na starowalijski przełóżmy to w wiersz.)

GABINET

Najlepszy zegar. Dywan. Najlepsze trzy krzesła.

Do zgonów, do Bożych Narodzeń, dla ciotki, co bezdomna,
dla zbyt starych lub chorych, bo po schodach weszli.

Chciałbym tutaj zagwizdać, ale nie podobna.

Wuj Joe przybył tu umrzeć. Jego szczęki rozwarte,
gdy zasiliła je jąkania moc,
tworzyły nieprzerwanie wzorzec głoski zwartej,
stukając niby d-d-damasceński młot.

Mej cioci dziecko martwe. Oniemiała matka.
Podobny szylkretowi lusterka celuloid.
Podstawiane, z dłoni wędruje do dłoni.
Nie papla, nie beczy, nie oddycha. Nie zajdzie mgłą tafla.

Ten zegar jest nakręcany, gdy się nieboszczyka
ubiera, teraz jego tykanie ciszy nie zagłusza.
Bezkształtna jest kanapa całunem przykryta.

Nad ciszą i księgą VI Eneidy mój umysł się porusza.

Przełożył: **Bohdan Zadura**

Tony Harrison — ur. 1937, poeta angielski, autor kilku arkuszy poetyckich i dwóch ważnych tomów wierszy: The Loiners (1970) oraz The School of Eloquence and Other Poems (1978).

Rys. Mariusz Rybicki

czania (jeszcze w Poznaniu, po ukończeniu studiów biologicznych, zapisałem się na Wydział Humanistyczny i zrobiłem drugie magisterium, z psychologii z pedagogiką). Dwudziestopunktowa „Instrukcja" organizacji i zasad działania „Kuźnicy" wyszła spod mojej ręki. Zwracałem w niej szczególną uwagę na nauczanie w duchu patriotycznym, z odwoływaniem się do naszych demokratycznych tradycji oraz walk niepodległościowych i powstańczych.

„Kuźnica" obejmowała pod koniec okupacji działalnością teren całego Inspektoratu Rejonowego AK (pięć powiatów). Mieliśmy 24 zaangażowanych czynnie nauczycieli-żołnierzy; przerobiony w domu materiał uczniowie 20 tzw. kurso-kompletów uzupełniali w czasie zebrań konsultacyjnych oznaczonych kryptonimem „Złaz". Sprawowaliśmy też nadzór nad 35 kurso-kompletami związanymi pośrednio tylko z „Kuźnicą". Po egzaminach wydawaliśmy oryginalne świadectwa. Blankiety tych świadectw wykonywałem sam, w domu w Błażowej. Były to świadectwa ze zdjęciem maturzysty i opatrzone pieczęcią państwową. Do dzisiaj zachowało się ich jeszcze sporo u naszych absolwentów. W sumie, w ciągu 65 sesji egzaminacyjnych, przeprowadziliśmy 698 różnych egzaminów. Przystąpiło do nich — na różnych szczeblach hierarchii szkolnej — 450 osób. Wydaliśmy 150 świadectw „małej matury", 257 osób otrzymało „dużą maturę"... Tak, proszę pana, to byli wspaniali chłopcy i wspaniałe dziewczęta. Napisałem o nich — jak żyli, jak walczyli, i jak ginęli, bo nie wolno zaprzepaścić pamięci o tym jak, i za co oddali życie...

M. D.: — Spotyka się pan profesor z tymi, którzy przeżyli?

G. B.: — O tak, ilekroć jestem na Rzeszowszczyźnie. Inni przypominają o sobie czasem w sposób zgoła niezwykły... Miałem kiedyś za przewodnika po terenie obwodu dębickiego „Deser" szesnastoletniego chłopaka. Nazywał się Edward Erazmus, był wzorowym uczniem „Kuźnicy". Chłopca tego schwytali po pewnym czasie z meldunkiem Niemcy, a ponieważ nie chciał zdradzić, katowali w okrutny sposób, aż wreszcie zabili, wieszając go głową w dół, na gałęzi drzewa. W 1969 r. zgłosił się do mnie przełożony Edka, ppor. „Dymin", i wręczył mi niewielki, płaski pakunek. Był to olejny obrazek Matki Boskiej z Dzieciątkiem; w dole — rozwijał skrzydła Biały Orzeł. Na tarczy, u nóg orła, widniały litery: P.K.E. (Państwowa Komisja Egzaminacyjna). Ten obrazek Edward Erazmus namalował niegdyś dla mnie w prezencie. Ale nie miał już sposobności mi go wręczyć. Jego rodzina nie wiedziała o moich dalszych losach. Dopiero w 1969 r. przypadkowo Erazmusowie dowiedzieli się, że żyję, że jestem profesorem uniwersytetu i mieszkam w Lublinie. Więc oddali mi, co było przed laty dla mnie przeznaczone, przez jego dowódcę ppor. „Dymina".

M. D.: — Czy Krzyż „Virtuti Militari" był uwieńczeniem pańskiej pracy w „Kuźnicy"?

G. B.: — Nie, za „Kuźnicę" uzyskałem Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami, a „Virtuti Militari" za udział w kilku akcjach bojowych „Burzy". Były to akcje pełne niebezpieczeństw i napięcia, na które nie stać by dziś mnie było.

M. D.: — Ostatnio ukazała się kolejna książka pana profesora, poświęcona sylwetce pierwszego rektora UMCS: „Henryk Raabe 1882 — 1951"...

G. B.: — Ta książka została napisana w hołdzie dla naukowca, dla organizatora UMCS. Ale także — jako spłata długu wdzięczności wobec człowieka, który w tamtych pierwszych, niełatwych latach powojennych, na ostrym zakręcie naszej historii, wyświadczył mnie i mojej żonie wielką przysługę. Ale to już byłby temat na zupełnie inną rozmowę...

M. D.: — Dziękując za tę rozmowę, pozwolę sobie zacytować jeszcze jedno zdanie z książki pana profesora o Benedykcie Dybowskim: „Chciałbym, aby książka ta przyczyniła się nie tylko do rozszerzenia wiedzy o polskim dorobku naukowym na obczyźnie, ale wzbudziła też cześć dla tych wszystkich pionierów naszej nauki i kultury, którzy w najcięższych dla narodu chwilach w jednej ręce trzymali oręż, drugą zaś podniecali znicz nauki ojczystej".

Rozmawiał
Mirosław Derecki

Sto dni przed dorosłością

Rozmowa z Mirellą T. lubelską maturzystką

— Za kilka dni macie studniówkę. Jak się czujesz?

— Nie rozumiem.

— No, ja na swój bal studniówkowy czekałem z pewnymi emocjami. Miał to być taki wstęp do dorosłości, pożegnanie szczeniactwa. Nawet jeden z profesorów powiedział, że to są pierwsze kroki w „polonezie dorosłego życia..."

— To pan chyba dawno robił maturę! U nas nikt takiego kitu nie sprzedaje.

— A co sprzedaje?

— Ucz się Jasiu, ucz się, ucz. Wiedza to potęgi klucz. Tak śpiewa jeden z zespołów rockowych. Słyszał pan?

— Owszem. Co ci dała szkoła?

— Nie wiem.

— Jak to nie wiesz?

— Normalnie. Nie wiem, co mi będzie w życiu potrzebne z tych nauk. Co się liczy, a co — nie.

— Do jakiej klasy chodziłaś?

— Do humanistycznej.

— I to cię jakoś nie uprofilowało?

— Nie.

— Co sądzisz o swoich nauczycielach?

— Są denni. No, poza kilkoma wyjątkami...

— Co to znaczy: denni?

— Nic nam nie mogą dać poza stopniami w dzienniku. Wiedzę i tak pobieramy z podręczników. A nauczyciele — odpytują i koniec. Najbardziej denerwuje, że traktują nas jak bandę gówniarzy i przygłupów. Trują głupoty. Są zawistni, nietolerancyjni.

— Może jakieś przykłady?

— Są. Jeden chłopak z naszej klasy ma świra na punkcie Napoleona. Jest oczytany w temacie, zna na wyrywki daty wszystkich bitew i kampanii Bonapartego, zachwyca się Łysiakiem. No i w czasie powtórek pokazał co potrafi: zaginał nauczycielkę raz za razem. Klasa wyła z zachwytu. Nauczycielka kazała mu w końcu dokonać oceny znaczenia Napoleona dla sprawy polskiej. Z oceną się nie zgodziła i postawiła mu tróję. Pewnie będzie miał kłopoty na maturze.

Znowu anglistka, jak się uwzięła na koleżankę, to pytała ją na każdej lekcji i z zadowoleniem wykazywała, że koleżanka nie umie. Postawiła jej chyba jedenaście dwój w semestrze.

Są koledzy, którzy musieli się poprzenosić do innych szkół przez nauczycieli, którzy ich gnębili.

— Czy sądzisz, że to się działo tylko z powodu winy jednej strony?

— Zawsze jakiś powód był, ale przecież nauczyciel powinien — jeżeli już nie być wyrozumiałym — pamiętać, że też był młody i chodził do szkoły.

— Nie jest to najłatwiejszy kawałek chleba.

— Co to za argument? Kto każe pracować w szkole? Zresztą wystarczy popatrzeć na stosunek nauczycieli do siebie samych. Skłóceni, złośliwi wobec siebie. Nawet przy nas źle się o sobie wyrażają. Ktoś powiedział, że taką mamy młodzież, jakich nauczycieli, i to jest prawda.

— Jaki jest twój ulubiony przedmiot?

— Nie mam. Być może najbardziej odpowiadałby mi język polski, gdyby było więcej miejsca na swobodne rozwijanie zainteresowań literackich, lepszy dobór lektur. Zdecydowanie za mało mówi się o literaturze młodego pokolenia: Marku Hłasce, Redlińskim...

— Na które przedmioty patrzysz z niechęcią, kładziesz na nie krzyżyk?

— Przede wszystkim na ścisłe. Jest też sprawa podręcznika do historii, którego nie ma, a co zdecydowanie odsuwa ludzi od tego przedmiotu. Mnie w pewnym sensie też.

— To jak się uczycie bez podręcznika?

— Rzecz jest dość śmieszna. W zasadzie powinno się korzystać z podręczników akademickich i ze źródeł, ale zwykle kończy się na wskazaniach nauczyciela, skąd i co brać. Ponadto obowiązujące jest to, co on myśli na temat określonych zdarzeń historycznych.

— Na jakie wybierasz się studia?

— Na żadne.

— Jak to?

— Zwyczajnie. Nie widzę sensu studiowania.

— Co w zamian?

— Dom, rodzina, mąż, dzieci...

— A praca?

— A niby dlaczego kobieta ma pracować? Dawniej pracowali tylko mężowie i jakoś dom się nie zawalał. Nawet sprzyjało to spajaniu rodziny. Czy to jest zły model?

— Większość twoich rówieśniczek chyba dąży do większej emancypacji?

— A cóż to ma wspólnego z emancypacją? Rodzina powinna opierać się o partnerstwo małżonków, a nie o harówkę obojga. Zdecydowanie jestem za tym, aby kobieta zajmowała się domem.

— A inne motywy studiowania? Samodoskonalenie, zdobywanie wiedzy etc.?

— Nikt nie mówi, że mam być przygłupem. Można przecież czytać, dyskutować, chodzić do teatru, na wystawy.

— Gdybyś jednak miała wybrać jakieś studia to...

— Byłaby to historia sztuki, psychologia lub filologia angielska.

— Co na twoje plany rodzice?

— Nie są uszczęśliwieni. Oboje ciężko dochodzili do tego, aby ukończyć studia. Dlatego nie traktują moich zamiarów niestudiowania z entuzjazmem.

— Czy szkoła ogólnokształcąca daje — według ciebie — wykształcenie ogólne, pozwalające na w miarę swobodny wybór przyszłego kierunku nauki?

— Nie. Najlepszym przykładem są klasy profilowane. Trudno sobie wyobrazić, żeby zdać, na przykład, na medycynę po mojej klasie (humanistycznej). W ogóle dostanie się na studia oprócz nauki na co dzień wymaga także korepetycji, powtórek, przerabiania tego, czego się nie robi w szkole. To zniechęca dodatkowo do studiowania. Bo powody zasadnicze są oczywiste...

— To znaczy?

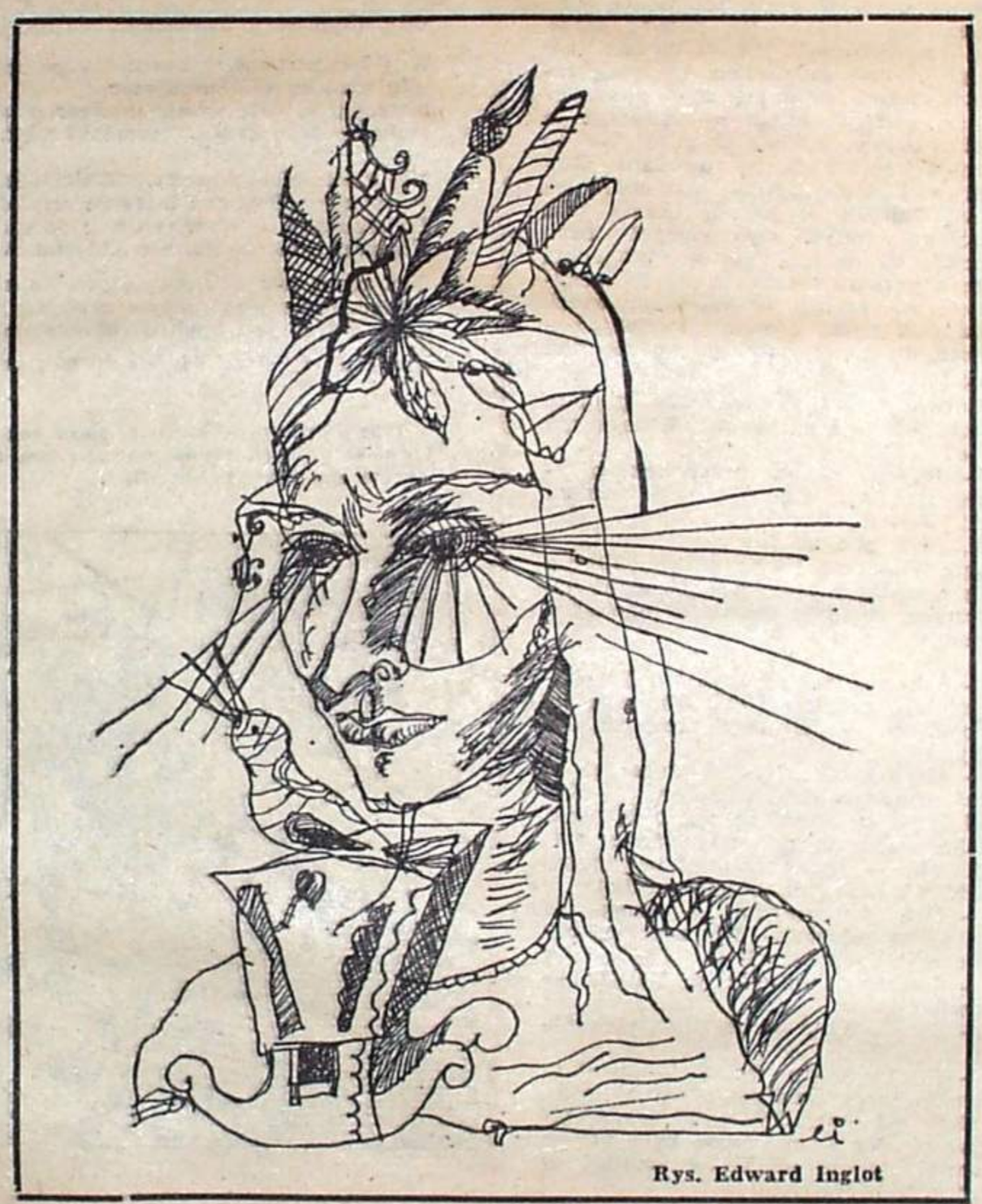

Rys. Edward Inglot

— Pan udaje naiwnego? Przecież u nas nie ma żadnych racjonalnych proporcji między zarobkami pracowników fizycznych a umysłowych. Kto by pomyślał w innym kraju, że robotnik ma mieć więcej niż inżynier? To wszystko stoi na głowie. Ja już nie mówię o prywatnej inicjatywie (jak to się mówi w pokoleniu moich rodziców). Każdy prywatny interes jest lepszy od państwowej posady.

— Czy chętnie chodzisz do szkoły?

— Nie. Szkoła mnie męczy. Chcąc serio traktować to, co nam zadają nauczyciele, praktycznie nie ma się czasu dla siebie. Zwłaszcza w klasie maturalnej. Większość moich kolegów i koleżanek jest po prostu zmęczona szkołą.

— Co byś proponowała?

— Program nauczania jest przeładowany. Trzeba by go odchudzić. Wiele rzeczy jest niepotrzebnych.

— Co robisz poza szkołą?

— Nic specjalnego. Spotykam się z koleżankami i kolegami. Chodzę z chłopakiem. Czasem jakaś dyskoteka, jakiś koncert zespołu, jakaś balanga.

— A dorośli?

— Z nimi nie mam kontaktów. Zresztą nie chcę mieć. Oni nic nie rozumieją. Są zagonieni, zmęczeni, zdenerwowani, źli. Bariera między nami a nimi stale rośnie. Nie potrafią z nami rozmawiać. Zupełnie jak by się słuchało telewizora. To jest okropne!

— Są to sądy, które wypowiada niemal każde pokolenie o swoich rodzicach.

— A co z tego dla nas za pociecha?

— To jaka pociecha w zamian?

— Rock. Rozmowy. Miłość. Seks. Lektura. Gaz. Ćpanie. Zależy co dla kogo najlepsze...

— Dla ciebie — co?

— Tak po trochu, to wszystko. Najbardziej jednak — chłopak, czyli miłość i seks.

— Co robi twój chłopak?

— Studiuje na trzecim roku politechniki.

— Co możesz o nim powiedzieć?

— Czy ja wiem? Zależy, co pan chce wiedzieć... No, jest fajny. Dobrze tańczy, umie opowiadać, umie się kochać... To jest bardzo ogólne pytanie.

— Długo z nim chodzisz?

— Pół roku.

— A przedtem?

— Też chodziłam. Z innym.

— Dlaczego przestałaś.

— Był głupi.

— A ten — mądry?

— Mądrzejszy.

— Wyszłabyś za niego za mąż?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo to jeszcze nie to.

— Co?

— Miłość.

— A co to jest miłość?

— A pan wie? Tego się nie da powiedzieć, to się czuje.

— Masz jakieś marzenia?

— No pewnie!

— Jakie?

— To zależy... Tak ogólnie to bardzo bym chciała mieć spokój, być niezależna. Szczegółowiej, chciałabym pojechać gdzieś daleko... A tak już zupełnie blisko, to chyba zakochać się naprawdę.

— Co sądzisz o swoich rówieśniczkach?

— Ogólnie są głupie.

— A o rówieśnikach?

— To samo.

— A o sobie?

— No, może jestem nieco mądrzejsza, ale ogólnie też jestem głupia.

— Czy wiesz na czym polega twoja głupota?

— Na wierze w ludzi.

— Uważasz, że nie warto?

— Nie warto, ale jednak się wierzy...

— Co będziesz robić za dziesięć lat?

— Nie wiem.

— Czy będzie nam się żyło lepiej?

— Nie wiem. Te sprawy mnie nie obchodzą.

— Nie obchodzi cię sytuacja ogólna?

— Nie. Już bardziej moja własna.

— Czy nie da się ich jakoś pogodzić?

— Nie. Może kiedyś będę uważać inaczej.

— Co będzie na waszej studniówce?

— Chcemy, żeby był maksymalny luz, swoboda. Żeby przez ten wieczór można było zapomnieć o wszystkim. No, ale to się chyba nie uda. Ważne, że będą dobre nagrania i dobry prezenter.

— A po studniówce?

— Znów to samo.

— Miłej zabawy.

Rozmawiał
Waldemar Piasecki

Jest kontrola czy jej nie ma?

Wacław Opacki

LENIN pisał, że brak koordynacji, przerosty i zjawisko dublowania rewizji i przeglądów przez różne organa kontrolne, rewizyjne odrywa aparat zarządzania od bieżących zadań i obniża odpowiedzialność, rodząc postawy asekuranckie. Krytykę kontroli zbyt częstych, a zarazem powierzchownych, można wesprzeć przykładami...

No właśnie. W telewizji niedawno pokazywano spółdzielnię produkcyjną, którą w ciągu dwóch tygodni odwiedziło aż 17 różnego rodzaju kontroli. Nic nie wykryły. Cztery miesiące potem przyjechały cztery inne. Bez skutków pozytywnych (używając języka ocen kontrolera). Włos na głowie się jeży: iluż ludzi zaangażowano do tych „podchodów"? Ile czasu zmarnotrawiono wskutek oderwania od stanowisk pracy robotników spółdzielni? Znany jest przykład wielomilionowej afery gospodarczej, która objęła 42 przedsiębiorstwa. W okresie pełnej działalności grupy przestępczej przeprowadzono tam 1437 kontroli.

Inny obrazek pochodzi też z nie tak dawnej jeszcze przeszłości. Z zakładów pracy zwalniało się jednego dnia na 4—5 godzin kilkadziesiąt, a może kilkaset osób, by kontrolować rynki, bazary, kioski, sklepy... Były efekty. Tu zatrzymano handlarza żyletkami, który ustalał paskarskie ceny, gdzie indziej wpadła sklepowa przetrzymująca na zapleczu dżemy... Tak, były efekty. Ale gdyby naprawdę porównać koszty ekonomiczne: braku robotników na swoich stanowiskach pracy z efektami w postaci grzywien itd., nie wiem, czy absorbowanie takiej rzeszy ludzi okazałoby się opłacalne. Ktoś inny może twierdzić, że stawianie takich pytań jest pozbawione sensu. Najważniejsze bowiem wydają się efekty społeczne, które nie są — i z tym trzeba się zgodzić — wymierne.

Jedno jest niewątpliwe — że system kontroli państwowo-zawodowej nie działa sprawnie. Niewątpliwe dla mnie jest także, iż rozmnożenie się w ostatnich lata rodzajów i jednostek kontroli nie stanowi antidotum na nasze podstawowe bolączki.

W Polsce działa około 30 tys. zawodowych uprawnionych kontrolerów, którzy wykonują około pół miliona kontroli rocznie. Ile jest instytucji kontrolnych — tego dokładnie nie wiem, i nie jestem pewien, czy naczelny organ kontroli w PRL, NIK, mogłaby taką ścisłą liczbę podać. Różnie też je się dzieli.

Czesław Bielecki w podręczniku „System kontroli w PRL" wymienia np.: najwyższe organa władzy, sprawujące bezpośrednio kontrolę nad realizacją podstawowych elementów polityki społeczno-gospodarczej, bądź pośrednio przez naczelny organ kontroli państwowej — Najwyższą Izbę Kontroli; organa i instytucje sprawujące funkcje kontrolne jako działalność uzupełniającą w stosunku do swoich funkcji podstawowych: prokuratura, czuwająca nad przestrzeganiem przepisów prawa, sądy, banki, itp.; wyodrębnione instytucje kontrolne powołane wyłącznie do sprawowania kontroli w dziedzinach ustalonych dla każdej z tych instytucji w wyznaczonym zakresie: ogniwa kontroli wewnątrzresortowej; różne ogniwa kontroli społecznej (organa przedstawicielskie, komisje rad narodowych, rady robotnicze, związki zawodowe itp.). Do tej pory jednak brakuje jasnego zdefiniowania niektórych z tych ogniw, jak i ustalenia stopnia i zakresu ich funkcjonowania. Przykładem jest tu kontrola społeczna, która u jednych obejmuje kilkadziesiąt jednostek, u drugich — bywa zawężana do dwóch, a może nawet jednej (Komisji Kontroli Społecznej).

Wśród kontroli specjalnych, którą spełniają instytucje jako organa wydzielone i podległe kierownictwu rządu bądź poszczególnym ministrom, można wymienić: Główny Inspektorat Kontrolno-Rewizyjny w Ministerstwie Finansów, Państwową Inspekcję Handlową, Państwową Inspekcję Sanitarną, Inspekcję Pracy, Państwowy Inspektorat Gospodarki Paliwowo-Energetycznej, Państwową Inspekcję Skupu i Przetwórstwa Artykułów Rolnych, Inspekcję Nasienną, Centralny Inspektorat Standaryzacji, Kontroli Zużycia Drewna... Instytucje kontroli specjalnych usytuowane są w systemach organizacyjnych poszczególnych resortów, w większości rozciągają swoje kompetencje na działalność jednostek podległych innym organom administracji państwowej (przykład kontroli finansowej czy sanitarnej). W tej samej grupie należy umiejscowić kontrole wykonywane przez aparat państwowy na mocy szczególnych przepisów, czego przykładem jest nadzór budowlany i dozór techniczny...

Najważniejszą kontrolę sprawuje Sejm PRL, w którego imieniu spełnia ją Najwyższa Izba Kontroli. Historia funkcjonowania NIK jest najwymowniejszym przykładem tego, że nasz kraj w okresie istnienia ludowej państwowości nie miał wyraziście sprecyzowanego i ugruntowanego spojrzenia na model kontroli państwowej. Najpierw funkcję taką wykonywało Biuro Kontroli przy Prezydium Krajowej Rady Narodowej, którą potem zastąpiła Rada Państwa. Najwyższa Izba Kontroli została powołana 9 marca 1949 r. jako organ Rady Państwa. W listopadzie 1952 r. NIK zostaje jednak zlikwidowana, jej pozycję i miejsce zajmuje Urząd Ministra Kontroli Państwowej, który jest podporządkowany bezpośrednio Prezesowi Rady Ministrów. 13 grudnia 1957 r., po masowych społecznych wystąpieniach żądających gwarancji odnowy życia politycznego i społecznego, Sejm reaktywuje działalność NIK.

NIK formalnie i merytorycznie jest podporządkowana Sejmowi do 1976 r. W tymże roku (27 marca), równocześnie prawie z uchwaleniem nowelizacji Konstytucji PRL (10 lutego), NIK „przechodzi pod rząd", stając się organem wspólnym Sejmu, Rady Państwa i rządu. Sejm formalnie powołuje i odwołuje jej prezesa. Rada Państwa doraźnie dokonuje korekcji działalności instytucji, a rząd obejmuje bezpośrednie zwierzchnictwo inspirujące (lub raczej tłumiące) działalność kontrolną, oczywiście w kierunku spraw najmniej istotnych dla kraju. Dla przykładu: podjęcie przez NIK z własnej inicjatywy kontroli naczelnych i centralnych organów administracji państwowej wymagało zgody prezesa Rady Ministrów. Nie mogła ona wyjść poza ustalony zakres. Włączenie NIK do systemu organów administracji państwowej, zaś jej prezesa w skład Rady Ministrów, spowodowało ponoszenie wespół z innymi członkami Rady Ministrów odpowiedzialności politycznej za działalność rządu.

Byliśmy wtedy świadkami, że bez najmniejszego komentarza lub polemicznego głosu przechodziły uchwały w Sejmie, uprzednio w całości przygotowane przez rząd. Sejm bowiem nie dysponował informacjami, które mogły być podstawą do jakiejkolwiek rzetelnej dyskusji. Rola Sejmu w wielu sprawach została poważnie zredukowana, a dyskusja nad wieloma istotnymi dla kraju problemami przeniosła się z sejmowych sal do rządowych gabinetów. Nie mając wglądu w działalność organów wykonawczych i nie sprawując jako ciało kolegialne zwierzchniej kontroli, Sejm nie mógł zapobiec poważnym błędom w polityce państwa. Niedowład kontroli spowodowało to, że forum kontroli przypominało ciało upoważnione do formalnej akceptacji.

Przywrócenie w październiku 1980 r. Najwyższej Izbie Kontroli należnej jej rangi i rozszerzenie uprawnień kontrolnych dało Sejmowi możliwość wnikania w rzeczywisty obraz spraw państwowych, stwarzając tym samym gwarancję istotnego wpływania na ich bieg. Prezes NIK nie jest powoływany w skład Rady Ministrów w charakterze członka, ale może uczestniczyć w posiedzeniach rządu w zupełnie innym charakterze, bez współodpowiedzialności za jego prace. Z kolei rząd może zgłaszać wnioski w sprawie przeprowadzenia przez NIK kontroli, a także otrzymuje cały zestaw informacji, sprawozdań i wniosków z całokształtu przeprowadzonych kontroli. Kontroli NIK poddana została bez ograniczeń działalność naczelnych, centralnych i terenowych organów administracji państwowej oraz podległych im przedsiębiorstw. W ustalonym zakresie NIK może też kontrolować spółdzielnie oraz organizacje społeczne.

W przypadku spółdzielni — kontrola ta może objąć realizację zadań zleconych przez państwo oraz gospodarkę mieniem społecznym, w przypadku organizacji społecznych — wykonywanie zadań zlecanych przez państwo, wykorzystywanie pomocy państwa oraz dysponowanie funduszami pochodzącymi z czynów i wpłat społecznych. Pozostała sfera działalności poddana jest nadal kontroli samorządu tych organizacji.

NIK obecnie przedstawia uwagi do sprawozdań Rady Ministrów z wykonania planu społeczno-gospodarczego i budżetu państwa, co jest jednym z elementów decydujących o udzieleniu absolutorium. Sejm może odmówić udzielenia bądź udzielić rządowi absolutorium, z wyłączeniem określonego członka Rady Ministrów, co stanowi wyraz dezaprobaty wobec niego. Pociąga to za sobą odwołanie go ze składu Rady Ministrów. Ustawa zobowiązuje NIK do przedstawiania zarzutów wobec poszczególnych członków centralnych organów państwowych, jak i innych osób zajmujących kierownicze stanowiska w administracji państwowej. Pracownicy NIK otrzymali specjalny status prawny. Nawiązanie stosunku pracy następuje na podstawie mianowania. Korzystają oni ze szczególnej ochrony, a podjęcie przeciw nim dochodzenia przez prokuratora w sprawie prowadzonej kontroli wymaga zgody kolegium NIK.

Nie bez powodu poświęciłem tyle miejsca Najwyższej Izbie Kontroli. Ma ona niezmiernie szeroki zakres uprawnień i obowiązków koordynacyjnych, a jednak nasze wrażenie, płynące z bieżących obserwacji codziennego życia, jest nieco inne: że faktycznej kontroli po prostu brak. Oponenci przeprowadziliby następujące rozumowanie: kontrola nie istnieje samoistnie, ale stanowi integralny element systemu kierowania i zarządzania. Będąc elementem tego systemu, funkcjonuje tak, jak on jest ukierunkowany. Kontroli nie można więc wydzielić w formie samodzielnej struktury organizacyjnej z ogólnopaństwowego systemu zarządzania. Ponieważ i gospodarka, i system zarządzania jeszcze szwankują, nie można się dziwić, że szwankuje też kontrola. Społeczeństwo może zresztą kontroli nie widzieć. Brak po prostu uchybień i błędów lub jest ich znacznie mniej, ma ona też polegać wyłącznie na ocenie sprawności i skuteczności kontrolowanego działania, a także na określaniu sposobów usunięcia stwierdzonych błędów i ustalaniu środków zmierzających do zapobiegania im na przyszłość, co zapewni prawidłowy przebieg realizacji społeczno-gospodarczych zadań.

Zgodzę się z takimi twierdzeniami tylko fragmentarycznie. Wiem na pewno, że w społeczeństwie istnieje przekonanie — podzielam je często — iż kontrola jest wyłącznie narzędziem represyjnym w procesach kierowania i zarządzania gospodarką, sterowania procesami społecznymi, w ogóle — w rządzeniu krajem. Tej oczywiście nieprawdziwej opinii społeczeństwo jednak samo sobie nie wyrobiło. Dopomogły mu w tym pewne mechanizmy sprawowania władzy, która „naciskała", sterowała kontrolę w kierunku spraw mało istotnych. A Lenin przecież pisał, że kontrola powinna być chroniona przed wpływami i naciskami, które „są jednym z największych, jeśli nie największym wrogiem praworządności". „Żaden autorytet — twierdził — żadna osoba nie może przeszkodzić w zgłoszeniu interpelacji, w skontrolowaniu dokumentów. Warunkiem dochodzenia do prawdy obiektywnej jest niezawisłość kontroli od nacisku zainteresowanych"... Łącząc zasadę niezawisłości z jawnością kontroli i upowszechnianiem jej wyników Lenin podkreślał, że jawność wpływa wychowawczo na masy pracujące, służy ulepszaniu pracy i pokonywaniu trudności, eliminowaniu błędów i braków. Zasadzie jawności służyły m.in. różnorakie związki organów kontroli z prasą.

Przyznam, że w ostatnim okresie wyciągnięto ze słów Lenina wiele wniosków. Praca NIK, na ile to możliwe, jest jawna, o czym mogę się dość często przekonać. Ale czy nie brakuje nacisków — tego już nie wiem. A chciałbym wiedzieć.

Od lat bezskutecznie wysuwany jest postulat wprowadzenia w kraju kontroli kompleksowej, zintegrowanej, uwzględniającej specyfikę badanej jednostki. Właściwie próbkę już mieliśmy w postaci kontroli Inspekcji Sił Zbrojnych. Badano całe województwa, gminy, miasta, wsie. Dotychczas skontrolowano 10 województw. Na pytanie dziennikarza: ile spędzili dni w terenie, szef Inspekcji, gen. dyw. Władysław Mróz, odpowiedział, że dwieście. Z dalszej wypowiedzi wynika, że pomimo kontroli błędy, niedociągnięcia, nieprawidłowości miały miejsce dalej, a wniosków często w badanych jednostkach nie wyciągano.

Kontrola przyjdzie, kontrola sobie na pewno pójdzie. W społeczeństwie ugruntowało się przekonanie o braku skuteczności kontroli, której podstawowym błędem była i jest nie tylko marginalność, ale i incydentalność oraz nieciągłość.

System kontroli w kraju nastawiony jest w zasadzie na badanie zgodności działania z przepisami prawa. Kontrola nie może więc wykonywać w pełni podstawowych zadań w zakresie regulowania i korygowania zarządzania państwem. Brak dostosowania zakresu działalności kontrolnej do zadań i kompetencji poszczególnych szczebli organizacyjnych administracji państwowej i gospodarczej.

Kontrola zewnętrzna wykrywa wciąż te same nieprawidłowości. Wniosek oczywisty: brak sprawnie działającego aparatu kontroli wewnętrznej. Czesław Bielecki wymienia podstawowe nieprawidłowości w funkcjonowaniu kontroli wewnętrznej. Do nich należy pomijanie w toku rewizji niektórych ważnych merytorycznie zjawisk i zamieszczanie w protokołach drobnych uchybień i ustaleń pokontrolnych, bez podawania przyczyn i skutków. Brak proporcji w ustalaniu zjawisk negatywnych w stosunku do całej dziedziny działalności i ogólnej sytuacji w jednostce kontrolowanej. Podawane są niepełne dowody stwierdzonych niedociągnięć. Brakuje krytycyzmu w posługiwaniu się w toku postępowania dowodowego materiałem planistycznym i sprawozdawczym, bez sprawdzania jego merytorycznej i formalnej poprawności. Kontrolerzy wreszcie koncentrują się zbytnio na formalnym przebiegu działalności w rewidowanej jednostce (zgodność ze stanem normatywnym) oraz na formalnym sprawdzaniu różnych dokumentów (ich autentyczności, legalności wystawienia, prawidłowości sporządzenia itp.).

Brakuje tu najważniejszego spostrzeżenia: kontrolerzy wewnętrzni zbyt łatwo ulegają (mogą ulegać) presji (naciskowi) kierownictwa jednostki macierzystej lub zwierzchniej. Takiej postawie tych drugich nie należy się zresztą dziwić. Partykularyzm nie zawsze musi mieć tylko pejoratywne odcienie. Czas jednak na generalny wniosek: by wszelkie organa kontroli resortowej, spółdzielczej — mimo formalnego pozostawienia kontrolerów na uposażeniu jednostek — podporządkować merytorycznie i administracyjnie (włącznie z powoływaniem na stanowiska) Najwyższej Izbie Kontroli i jej delegaturom.

1 lipca 1983 r. weszła w życie Uchwała nr 57 Rady Ministrów „O uprawnieniach kontrolnych organów administracji państwowej". Kontroli mają podlegać wszystkie jednostki na wszystkich szczeblach zarządzania. Funkcję koordynacyjną spełnia główna inspekcja kontroli w Urzędzie Rady Ministrów... Dyrektor generalny Urzędu Rady Ministrów, gen. bryg. Marian Ryba, zapewniał podczas wspólnego posiedzenia prezydiów: Centralnej Komisji Rewizyjnej PZPR, Głównej Komisji Rewizyjnej ZSL i Centralnej Komisji Rewizyjnej SD, że Uchwała RM sprzyja ograniczeniu ilości kontroli formalnych. Obok kontroli o charakterze administracyjnym istnieje jednak duży obszar zaniechanej lub ograniczonej aktywności w sferze kontroli społecznej, zarówno ze strony organów przedstawicielskich, rad narodowych, jak i organizacji społecznych, związków zawodowych i grup obywatelskich. Ile jednak naprawdę będzie kosztowała ta Uchwała? O ile stanowisk pracy faktycznie poszerzy się i tak, zdaniem przeważającej części społeczeństwa, zbiurokratyzowany aparat administracji?

Z BOCZNEJ ŁOŻY

„Szklana menażeria" w Lublinie

NAJPOPULARNIEJSZĄ w Polsce sztuką amerykańskiego „mistrza psychoanalizy", Tennessee Williamsa, cieszącą się dużym zainteresowniem u progu lat pięćdziesiątych i w drugiej połowie sześćdziesiątych, ostatnio jakby trochę zapomnianą (w ostatnich latach częściej wystawiano inne sztuki Williamsa: „Kotka na rozpalonym blaszanym dachu", „Tramwaj zwany pożądaniem"), zrealizował Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie. Premierę „Szklanej menażerii" na małej scenie reżyserował Roman Kruczkowski, wykorzystując w przedstawieniu młode siły aktorskie, studentów PWSFTviT — Agnieszkę Kowalską i Grzegorza Forysiaka.

Po premierze dyrektor teatru, Ignacy Gogolewski, powiedział: „Jesteśmy wdzięczni tłumaczowi Kazimierzowi Piotrowskiemu, nieobecnemu wśród nas, za przekład tej pięknej, poetyckiej, subtelnej sztuki" (cytuję z pamięci). Tym oto sposobem zasugerował pan dyrektor widzom, że obcują z „pięknem, poezją, subtelnością". Ale czy to wystarczy?

„Szklana menażeria" jest przede wszystkim sztuką społeczną, pokazuje obraz życia tzw. klasy średniej w Ameryce u schyłku lat trzydziestych naszego stulecia. Szarość, ubóstwo i nędzę tego życia, nie tyle materialną, co — można by rzec — „duchową". Ubóstwo w zakresie życia kulturalnego, uczestnictwa człowieka w kulturze. Matka-Amanda żyje wspomnieniami o „kawalerach" swojej młodości, dorosła córka Laura, nie posiadająca żadnych zainteresowań, ambicji, bawi się szklanymi figurkami, słucha starych, zdartych płyt. Z mieszkania, pełnego tandety, tanich sprzętów, ale i „tanich" rozmów, próbuje uciec syn — Tom. Tylko dokąd? Dokąd można było uciec w miasteczku Saint Luis? Do kina, na kiepskie filmy i seanse magików, do dancingu „Paradise", gdzie „orkiestra grała walca lub tango w zwolnionym, zmysłowym rytmie. Pary wychodziły na uliczkę i szukały ukrycia. Widać było, jak się całują [...]. To była rekompensata za życie, które mijało [...] bez zmian i bez przygód". Rekompensatą za ową beznadziejność życia, upływającego na sortowaniu butów w wielkim magazynie, za brak jakichkolwiek możliwości na awans czy jakąś odmianę, jest tęsknota za P r z y g o d ą i... wojną jako jedynymi możliwościami rozszerzenia życiowych perspektyw.

Lubelskie przedstawienie „Szklanej menażerii' nieznacznie tylko rysuje problematykę społeczną sztuki. Reżyser poprowadził koncepcję inscenizacyjną raczej w kierunku wydobycia psychologicznych aspektów sztuki, pokazania ludzkiej samotności, niemożności porozumienia się, wydobył owe „ciemne strony ludzkiego życia", lecz przecież — jak powiada Wirginia Wolff — nawet „w ciemnych głębiach ludzkiego życia musi istnieć jakiś jasny obszar, z którego płynie dość światła, aby w lustrze odbił się uśmiech na twarzy". Istnieją takie jasne obszary w szarym życiu bohaterów Williamsa, są nimi wspomnienia i o c z e k i w a n i e.

Cała sztuka jest zresztą „wspomnieniem", o czym informuje na początku Tom-komentator i narrator (Jerzy Rogalski), zbliżający się do widzów z tajemniczym, cynicznym trochę uśmiechem, by „zaprezentować" siebie i sztukę. Czekanie na Przygodę, na odmianę życia pozwala Tomowi trwać w koszmarze pracy w magazynie. Bohaterami czekania są jednak w tym przedstawieniu bardziej kobiety, zwłaszcza matka (nie umiejąca do końca określić się w tej roli Maria Karchowska). Czekanie to przecież odwieczny temat kobiecy, podstawowy motyw kobiecego losu: czekanie na właściwego mężczyznę, na powrót bliskich... Kobiece czekanie nie jest abstrakcyjne, ma związek z ludźmi. Łączy się ze szczęściem, nadzieją, ale i bólem. Wywołuje niepewność, strach i agresywność, ale także czułość i ciepło. Ich oczekiwanie na szczęście jest żarliwe, może dlatego, że dość naiwne jest ich pojmowanie świata.

„Nasz gość jest właśnie czymś takim, na co długo czekamy, co wciąż się odwleka, i jest treścią naszego życia". Oczekiwanie zatem to jedyna radość, która wypełnia życie w „dusznym" mieszkaniu Wingfieldów. Owo mieszkanie jest zresztą doskonale zakomponowaną przestrzenią sceniczną, kilkupoziomową. Na dwóch wyższych poziomach-podestach znajduje się jadalnia i salon, niżej sypialnia, łóżko Toma — koszmar rannego wstawania do pracy. Scena została wysunięta maksymalnie w kierunku widowni, co daje możliwość dokładniejszego oglądu postaci z różnych stron. Kompozycja scenograficzna Tatiany Kwiatkowskiej jest bardzo funkcjonalna, zwłaszcza część zabudowy scenicznej wykonana z folii, która może przenosić wiele znaczeń.

W takiej przestrzeni przemieszczają się postacie (dobrze zorganizowany ruch sceniczny) — bardzo energicznie matka i niemrawo Laura (Agnieszka Kowalska), w pierwszej części przedstawienia może nieco przerysowana, w szarym fartuchu, wyglądająca na mieszkankę jakiegoś pensjonatu czy zakładu. W życiu scenicznym dwa wielkie tematy: wspomnienia i czekanie budowane są nie tylko obecnością postaci i tekstem, ale modelowane również przy pomocy światła (nieco przyćmionego, tworzącego atmosferę wspomnień) i muzyki (powtarzających się stałych motywów muzycznych), która wyraża być może, jak chciał sam Williams, „powierzchowną radość życia, pod którą kryje się niezmierny i niewyrażalny smutek". W tej atmosferze kobiety czekają na Gościa (kim on właściwie jest, chyba nie Godotem?). Gość wreszcie przybywa, nie spełnia jednak oczekiwań matki, przynosi jedynie utratę złudzeń, gorzką, bezwzględną i dość banalną.

Słusznie może podpowiedział dyrektor teatru, że lubelska „Szklana menażeria" jest przedstawieniem „poetyckim i subtelnym", ale czy taki wybór inscenizatorów jest absolutnie słuszny? Wypada stwierdzić, że w obecnym czasie, wśród licznych napięć w „naszym" i „tamtym" (amerykańskim) świecie, można wystawiać „Szklaną menażerię" jako sztukę nie tylko poetycką, zwłaszcza, że tekst dramatu stwarza takie możliwości.

Lidia Wójcik

Agnieszka Kowalska — Laura i Jerzy Rogalski — Tom
Fot. Zbigniew Zugaj

Kajet literacki

Sztuka mężów ciemnych

W EPOCE renesansu zajadle krytykowano mętny, niezrozumiały żargon starych scholastyków. Dziś ten scholastyczny bełkot przenosi się do literatury pięknej. Kiedyś poeta śpiewał sobie a muzom, dziś już o tym nie ma mowy, nawet muza go opuściła, no bo przecież muza nie jest jąkającą się, bredzącą w malignie histeryczką.

Mętny autor na ogół nie chce uznać tego, że jest niezrozumiały, wyniośle zwala całą winę na odbiorcę. Postępuje wszelako akurat tak jak mały brzdąc, który, śliniąc się, coś tam sobie mamrocze pod nosem, no i siebie rozumie. Autorowi wydaje się, że prowokuje tępą publiczność, mydłków, filistrów — a tymczasem ci filistrzy słuchają go pobłażliwie jak krnąbrnego brzdąca. Jednym słowem — wytwarza się taką sytuacja, że jedni drugich biorą za patałachów. Odbiorca pogardliwie odwraca się do klasyków, a twórca równie pogardliwie odwołuje się do przyszłych pokoleń, czyli do przyszłych mydłków i filistrów, którzy go wreszcie docenią.

Niezrozumiały utwór natychmiast rodzi nudę, a na to nie ma lekarstwa. Siedzimy nad tekstem wolnym od wszelkich rygorów, hamulców i usypiamy z nudów.

Od trzydziestu lat co kilka dni chodzę do biblioteki, przez siedem miesięcy sam byłem pracownikiem ruchliwej, uniwersyteckiej biblioteki — i nigdy, dosłownie nigdy nie widziałem, żeby ktoś wypożyczył tomik poezji współczesnej. Siebie jako zawodowca nie liczę. To bardzo smutne. Nie to jest żałosne, że czytelnicy wręcz bojkotują najnowszą poezję, tylko to, że poeci tak konsekwentnie dążą do samozniszczenia.

Tandeta polega często na fałszerstwie, na produkowaniu sztucznych antyków. Autentyczne stare teksty stają się tajemnicze, częściowo niezrozumiałe, gęste od dwuznaczności wyłącznie skutkiem późniejszych przemian językowych, obyczajowych i tak dalej. Niecierpliwi twórcy współcześni chcieliby natychmiast osiągnąć efekt, który wytwarza się samoistnie po dwustu czy trzystu latach. Niecierpliwość to bardzo młodzieńcza, a więc dość tandetna przypadłość.

Zasadniczą przyczyną nieszczęścia jest przesadne zaufanie do formy dzieła. Zapomina się o tym, że forma zawsze jest manierą, nawet u największych mistrzów. Witkacy treść nazywał bebechowatością sztuki — dziś, kiedy sam Witkacy promowany został na klasyka, forma jest bardziej bebechowata od treści, bo tej treści wyzbyta, bo wtórna i odgrzewana. Długo można o tym mówić.

Bełkot jest wynikiem wyłącznie tandety, gdyż każda wypowiedź, artystyczna zaś przede wszystkim, zmierza do jasności i prostoty. I żadne tu teoryjki nie pomogą, nie usprawiedliwią. Twórczość człowieka dąży do wyjaśniania tajemnic, a nie mnożenia ich. I tak znawcy zagadnienia twierdzą, że każde odkrycie naukowe, a chyba nie tylko naukowe, rodzi natychmiast tuzin nowych problemów, nowych zagadek.

Ktoś powie, że artysta dociera do tajemnicy bytu. Cóż zatem jest tą tajemnicą — mglista miazga, histeria, chaos widziany i opisywany przez histeryka? Sztuką chaosu jest milczenie, niebyt. I tu dochodzimy chyba do sedna sprawy — niezrozumiały bełkot jest jakby wstępem, zapowiedzią milczenia. No tak, tylko nie ma w tym konsekwencji, bowiem sztuka służy wypowiadającym się, a nie milczącym. Dla milczących musi wystarczać kontemplacja, czyli stan ducha dość jałowy, apatyczny w każdym razie. Leniwi święci, którzy nie umieli się modlić, ani nie potrafili spełniać dobrych uczynków, ograniczali się do samej kontemplacji. Zły uczeń zamiast o istocie rzeczy, rozmyśla o niebieskich migdałach. No a zły twórca wybiera bełkot.

Janusz Olczak

Rzeź lasu

Dokończenie ze str. 5

Gdybyż przynajmniej odszkodowanie za drewno miało realne, poważne wymiary! Niestety, jest ono symboliczne, a konkretnie — stanowi kpinę z idei pociągania potencjalnych niszczycieli środowiska do odpowiedzialności za pomocą kar finansowych. Łączna kwota odszkodowań za las puławski w okresie 16 lat działania „Azotów" wynosi zaledwie 135 mln złotych; za lata 1966—76 naliczono 50 mln zł, zaś w okresie 1976—80 — około 80 mln zł.

Ponury paradoks polega na tym, że płaci się nawet nie za wartość samego drzewa. Ministerstwo Leśnictwa, jako poszkodowany, otrzymuje wartość metra kubicznego pomniejszoną o: koszty wyrębu, transportu, przetarcia, o koszty administracyjne i kto wie jakie. W rezultacie, gdy cena metra wynosiła wówczas około tysiąca złotych, sprawca zniszczeń płacił zaledwie 119 złotych! Obecnie cena metra kubicznego wynosi 4 tys. złotych; gdyby policzyć według tej ceny, odszkodowanie przynajmniej sięgnęłoby około tysiąca złotych. Przykład: tarnobrzeski „Siarkopol" ma zapłacić za 20 tys. metrów sześc. drewna. Stanowi to około 2 mln zł. Gdyby policzyć po obecnych cenach i nie odliczać kosztów wyrębu, transportu itd. — „Siarkopol" zapłaciłby około 80 mln zł, a puławskie Azoty nie 135, lecz ponad pół miliarda złotych. W niektórych nadleśnictwach Rozwadowa, gdzie koszty wyrębu i transportu są stosunkowo duże i przekraczają 1000 zł za metr drewna, lasy nie otrzymają żadnego odszkodowania, lecz... powinny dopłacić „Siarkopolowi" za zniszczenia! **W ten sposób piękna idea w praktyce zostaje sprowadzona do absurdu. I pozostanie ona jedynie piękną ideą dopóty, dopóki truciciele nie zaczną płacić nie tylko za pełną wartość drewna, ale także dodatkową karę za zniszczenie środowiska.**

Owszem, historia puławskich „Azotów" zna przypadek pełnej kary. Była to kara imienna, personalna. Zapłacił ją jeden z pierwszych dyrektorów — pominę jego nazwisko „znane redakcji". Ów dyrektor, szczerze przejęty postępującą degradacją lasu, rozwinął starania o przebudowanie wytwórni saletry, głównego sprawcy zatruć. Zgromadził unikalny, jak na ówczesne czasy, sprzęt wartości 40 mln złotych. Na nic się to zdało. Inspekcja z resortu uznała te urządzenia za „ponadnormatywne", czyli zbędne, poleciła je upłynnić, a dyrektorowi wlepiła osobistą grzywnę wielkości około 40 tys. zł.

Nieco inaczej działa obecna dyrekcja „Azotów". Wiosną 1983 r. z kwoty jednego miliarda złotych przewidzianych przez zakład na rekultywację zniszczonej gleby po zniszczonym lesie — oraz na likwidację „ujemnego" wpływu „Azotów" na środowisko — większość pieniędzy przeznaczono na obwałowanie wysypiska popiołów. Z tym zaś, jak utrzymują leśnicy, można byłoby poczekać jeszcze parę lat. Tymczasem na remont urządzeń wydziału saletry przeznaczono z tego miliarda zaledwie 20 mln zł.

Zakończmy **casus „Azotów"** fragmentem wywiadu udzielonego „Kurierowi Lubelskiemu" 10 listopada ub.r. tym razem przez ob. Andrzeja Sawę — kierownika Wydziału Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska Urzędu Miejskiego w Puławach. Na pytanie, czy istnieje zagrożenie środowiska ze strony „Azotów", ob. kierownik odpowiada krótko:

— W tej chwili nie. Większość wskaźników zanieczyszczeń mieści się w granicach normy.

W każdym razie prawda jest taka, ob. kierowniku, że choćbyśmy powoływali się na Biblię i dzieła zebrane Marksa, fakt pozostanie nagi — martwy las na wschód od „Azotów".

(cdn.)

Henryk Pająk

Ekran i widz

Spielberg, Lucas i co dalej?

WIDZOWIE, którzy oglądali wojenną „zwariowaną" komedię Stevena Spielberga — „1941", pamiętają doskonale postać szalonego pilota myśliwca, bezustannie tropiącego nie istniejące cele nieprzyjacielskie — „Dzikiego Billa" Kelso. Grał go przysadzisty, „toporny" z wyglądu, ale niesłychanie ruchliwy i zwinny John „Jake" Belushi. Partnerował mu — również obsadzony w drugoplanowej roli — wysoki, chudy, flegmatyczny Dan „Elwood" Aykroyd, na ekranie — sierżant Tree, który, stojąc na wieży czołgu, wygłasza płomienne przemówienie do amerykańskich żołnierzy, zagrzewając ich do boju z domniemanym desantem niemieckim, co kończy się... zdemolowaniem połowy Los Angeles. Owa, tak bardzo zróżnicowana pod względem wyglądu zewnętrznego i temperamentu para komików, to byli znani doskonale amerykańskiej publiczności piosenkarze blues-rockowi, pokazujący się na estradach jako „The Blues Brothers". W „1941" występowali wspólnie na ekranie po raz pierwszy; nie wykonywali tu żadnej piosenki, występowali jako „zwyczajni" aktorzy. John Belushi miał, notabene, większe doświadczenie na planie filmowym: w 1977 r. zadebiutował w filmie „Goin' South", w tym samym roku zaangażował go do swego filmu „National Lampoon's Animal House" młody, wybijający się amerykański reżyser John Landis. To właśnie Landis miał w trzy lata później zrealizować film „The Blues Brothers" (muzyczną komedię z elementami burleski i widowiska sensacyjnego, z „Elwoodem" Aykroydem i „Jake" Belushim), którą ostatnio oglądamy na naszych ekranach.

Początkowo Aykroyd i Belushi występowali osobno. Do spotkania doszło podczas występów w telewizyjnym programie rozrywkowym „Saturday Night Life". Pierwszy specjalizował się w bluesie, drugi — śpiewał piosenki rockowe. Obydwaj zaś mieli dużą vis comica. Chociaż nie był to humor wysokiego gatunku, ich uzdolnienia parodystyczne, zgrzebne, lecz podparte ogromną żywiołowością, podobały się tak zwanej szerokiej widowni.

Jako piosenkarze — „The Blues Brothers" zaczęli odnosić szybko sukcesy estradowe i płytowe. Ich album zatytułowany „A Briefcase Full of Blues", wydany w ogromnym, 2,5-milionowym nakładzie, został sprzedany błyskawicznie. Pisano o nich i mówiono jako o wskrzesicielach tradycji rhythm and bluesa. Nic dziwnego, że tego rodzaju „nazwiska" postanowił wciągnąć na listę aktorów swego najnowszego filmu — „1941" — Steven Spielberg. Był to rok 1979. Zaraz potem powstał film „Old Boyfriends", a następnie Dan Aykroyd napisał scenariusz do „The Blues Brothers", który od razu wziął na warsztat John Landis. Film był gotowy w 1980 r. W 1981 r. nakręcono jeszcze dwa filmy z „Elwoodem" i „Jakem": „Neighbours" i „Continental Divide". I nagle... wszystko się skończyło: 5 marca 1982 r. zmarł tragicznie John Belushi.

„The Blues Brothers" to film przede wszystkim muzyczny. Niektórzy piszą: film muzyczny w stylu disco. Tak czy inaczej, jest to gatunek rządzący się bardzo swoistymi prawami i trudno porównywać „The Blues Brothers" z przeciętną, „mówioną" komedią lub farsą. Naczelna funkcja przypada tutaj muzyce, muzycznemu przebojowi. Im to przede wszystkim musi podporządkować się fabuła, inscenizacja i gra aktorska.

Poza Aykroydem i Belushim (na ekranie: dawnymi wychowankami położonego w dzielnicy slumsów sierocińca, którzy w celu zapłacenia ciążących na zakładzie wychowawczym zaległych podatków postanawiają reaktywować swój dawny zespół muzyczny, co wywołuje całą lawinę nieprawdopodobnych wydarzeń) — otóż poza „The Blues Brothers" występują tutaj sławy muzyki rozrywkowej tej miary, co James Brown, Cab Calloway, Ray Charles, Aretha Franklin.

To ich śpiewu, ich klasycznych przebojów ma się słuchać przede wszystkim. Ich samych, przede wszystkim, ma się oglądać i podziwiać na ekranie. Dopiero potem ma się dziać to wszystko, co się dzieje: ucieczki i pogonie, tajemnicze zamachy na życie dwóch głównych bohaterów, bójki z konkurencyjnymi zespołami, brawurowe rajdy samochodowe, totalne demolowanie sklepów, budynków, nieledwie — całych dzielnic miejskich. Wreszcie — gigantyczne karambole samochodów policji drogowej. Na zakończenie „Elwood" i „Jake" docierają — gonieni przez wojsko, komandosów i policję — przed oblicze samego... Stevena Spielberga, który gra w „The Blues Brothers" epizodyczną rólkę referenta w urzędzie podatkowym. Dwom przyjaciołom udaje się wpłacić pieniądze za zaległe podatki, zanim zdołała ich zatrzymać policja. Wypełnili misję wobec kierowniczki sierocińca, zakonnicy — siostry Marii, zwanej „Pingwinem". I teraz mogą już, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, dać się wsadzić do więzienia wraz z całym zespołem muzycznym. A tam — grać i śpiewać do woli, ku aplauzowi więźniów (i strażników) swój najnowszy przebój: „U kławisza na imieninach"...

Nieprzypadkowo wspomniałem o Stevenie Spielbergu, którego obecność tak mocno wyakcentowana jest w finale filmu. Być może, był to zresztą tylko przypadek, zbieg okoliczności, ale... dający wiele do myślenia. Cały bowiem film jest zrealizowany w swoistym „spielbergowskim" nastroju, a może raczej — w swoistej konwencji, jaka cechuje filmy Stevena Spielberga, niezależnie od ich tematyki i fabuły: perfekcjonizm zawodowy, widowiskowość (możliwa do uzyskania dzięki olbrzymim nakładom finansowym), położenie głównego akcentu na „zabawowość". A wszystko podporządkowane, w mniejszy lub większy sposób, poetyce komiksu. Dwie godziny „doskonałej zabawy" na ekranie przy intelektualnym poziomie równym nieledwie zeru. Podobną komiksową poetykę mają „gwiezdne" baśnie filmowe George'a Lucasa (choć przecież tak różnią się od opowieści Spielberga).

Zarówno Lucas jak i Spielberg nawiązują do istoty kina. Do jego korzeni, kiedy było ono przede wszystkim „latarnią czarnoksięską" i przemawiało bardziej do serc niż do umysłów. Osiągają wyniki zdumiewające. Ale zarazem nadejście „ery Spielberga i Lucasa" to zagrożenie dla kina ambitnego, dla kina walczącego. Ma więc rację Wiesław Weiss, gdy pisze w jednym z ostatnich numerów tygodnika „Film": „Sukcesy filmów Spielberga i Lucasa postawiły przyszłość artystycznego kina amerykańskiego pod znakiem zapytania [...], ankieta przeprowadzona wśród najmłodszych reżyserów za Oceanem potwierdziła, że następcy „cudownych dzieci Hollywood" marzą dziś tylko o powtórzeniu sukcesu „Gwiezdnych wojen". Nie inaczej było z Landisem. Skwapliwie wykorzystał on powodzenie jednego ze swych filmów, stosunkowo skromnej jak na warunki amerykańskie komedii „National Lampoon's Animal House", by zrealizować „The Blues Brothers", wysokobudżetowe widowisko w nowym stylu".

M. D.

Krzyżówka nr 2 z szyfrem

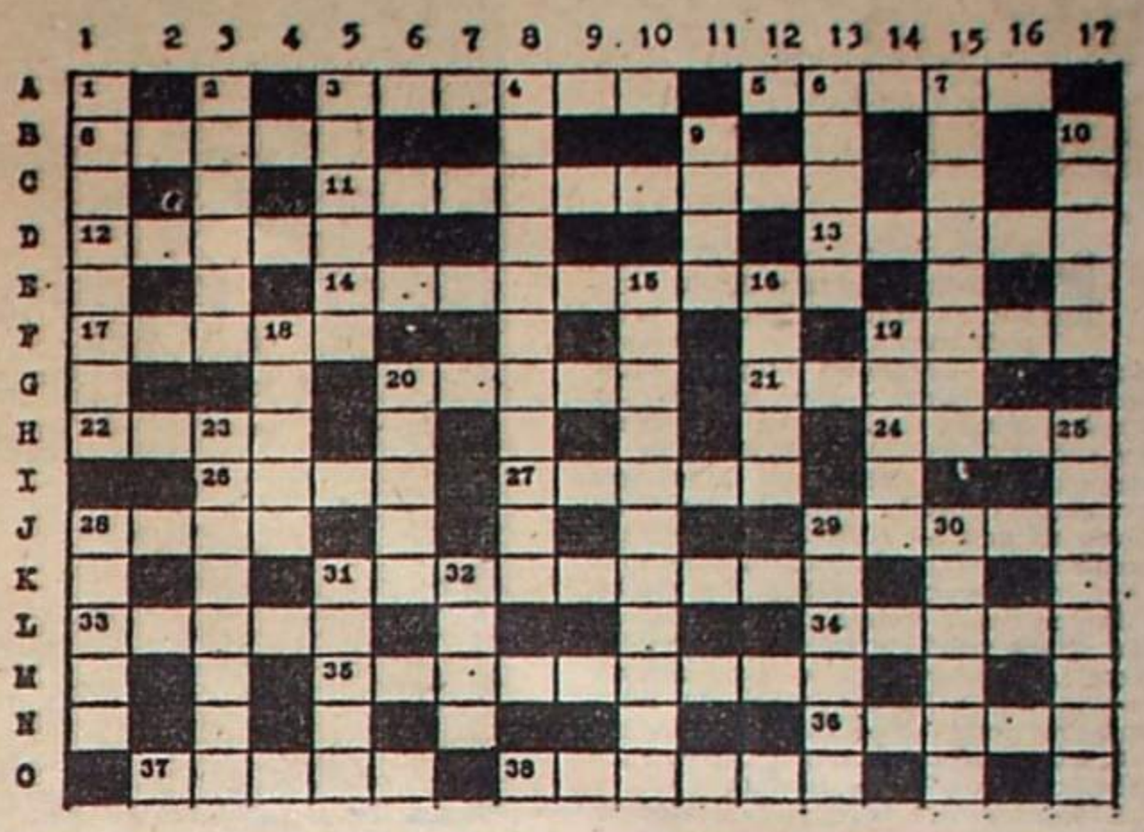

Po rozwiązaniu krzyżówki należy odczytać zaszyfrowany literami tekst, który stanowi rozwiązanie.

Poziomo: 2. na wierzchowcu, 5. tępa strona siekiery, 8. plakat, 11. poważanie, cześć, 12. ptasi pysk, 13. poprzedza dzieło, 14. dziedzina gospodarki narodowej zajmująca się uprawą drzew i hodowlą zwierząt łownych, 17. koncentracja umysłowa, 19. senna zjawa, 20. kompozytor radziecki, autor baletu „Czerwony mak", 21. przejrzysta tkanina, 22. benzynowy surowiec, 24. uroczyste przyjęcie, 26. metalowy surowiec, 27. El — y, 28. drewniany odpad, 29. kobieta stanu wolnego, 31. wąski odstęp, 33. rosyjska łaźnia, 34. zimowy sprzęt sportowy, 35. Scipio orzekł, że musi być zburzona, 36. autor „Maści na szczury", 37. na książeczce PKO, 38. najprostsza jednostka pływająca.

Pionowo: 1. współczesny krytyk i pisarz, autor książki „Proza", z której pochodzi rozwiązanie szyfru, 2. najdłuższy lewy dopływ Wisły, 3. biała broń, 4. twórca gazety, 6. oklaski, 7. łącznica telefoniczna, 9. kwas kuchenny, 10. egzemplarz spod kalki, 15. porządek czasowy, 16. przeplata się z osnową, 18. powieść poetycka Byrona tłumaczona przez Mickiewicza, 19. tatarski książę w powieściach Sienkiewicza, 20. farba wodna z dodatkiem kryjącym, 23. leniuch, 25. przechodzi z ojca na syna, 28. krytyk, który wypowiedział zaszyfrowane zdanie mówiąc o naturaliźmie w malarstwie, 29. państwo środk.-amerykańskie, 30. poeta chilijski zmarły tragicznie po zamachu stanu Pinocheta, 31. worek podróżny, 32. pokrycie dziury w pończosze.

SZYFR

C7, B1, K10, F5, G9, B8, || B17, M8, D4, C3, I11, || G2, || E11, M6, G3, C8, M1, N17, || A13, F10, J1, N10, G7, K11, || G12, A6, C6, B5, M11, || F4, A14, K6, G8, M5, J2, || J16, E17, B15, || H6, E9, G6, D2, B3, || N1, K1, N3, E13, E5, M15, M17, C12, G4.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI — SZYFROGRAMU NR 24

Inteligencję — nie zwierzęcia, tylko istoty rozumnej — łatwiej poznać po wątpliwościach, które ją trapią, po pytaniach, które ona zadaje, niż po jej odpowiedziach na pytania.

HALINA AUDERSKA
Jabłko granatu

Nagrodę otrzymuje Władysław Dudyna, ul. Czytelnicza 7, 93-302 Łódź.

W Nowym Jorku istnieje liga ochrony geniuszów. Liga ta swego czasu zakupiła na jednym z tamtejszych cmentarzy olbrzymi teren, gdzie przygotowała szereg jednakowych grobów, a następnie zwróciła się do licznych „geniuszy" z propozycją wybrania tam miejsca na ostatni spoczynek. Wystąpiono także do Bernarda Shawa, który odpowiedział lidze następująco: „Mam zamiar zbudować sobie kryptę z wszystkich kamieni, którymi obrzucono mnie za życia. Gdybym miał przewieźć je do Ameryki, moje prawa autorskie nie pokryłyby kosztów".

• • •

Do Williama Faulknera napisał swego czasu rozgoryczony czytelnik jego książki: „Przeczytałem pańskie dzieło, powszechnie uchodzące za wspaniałe, trzykrotnie. Przykro mi, ale niewiele z niego rozumiem". Pisarz odpowiedział krótko: „Niech pan przeczyta po raz czwarty".

• • •

Aleksander Dumas znany był z tego, że nie cierpiał krytyków, którzy też zresztą nie pałali miłością do pisarza. Swego czasu, w trakcie dyskusji nad najnowszą powieścią Dumasa, jeden z krytyków zaczął się pastwić nad wyjętym z kontekstu zdaniem: „bolesna próżnia zrodziła się w chwili słabości".

— Mistrzu, to przecież nonsens. Jak może boleć coś próżnego?

Na to Dumas:

— A czy pana nigdy nie bolała głowa?

Wyszperał: **Ryszard Dunin**

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bodan, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Piasecki, Waldemar Stępień (fotoreporter). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14—16.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 5, tel. 255-36. PL ISSN 0137-7108. Nr indeksu 36281.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.
Adres redakcji: 20-028 Lublin, ul. Skłodowskiej 5/1.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-92, sekretarz redakcji 215-83, dział publicystyki i literacki 215-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.
Zam. 3041/83. 27.12.83 r. L-8.

„Zobaczyć jasno własną klatkę"

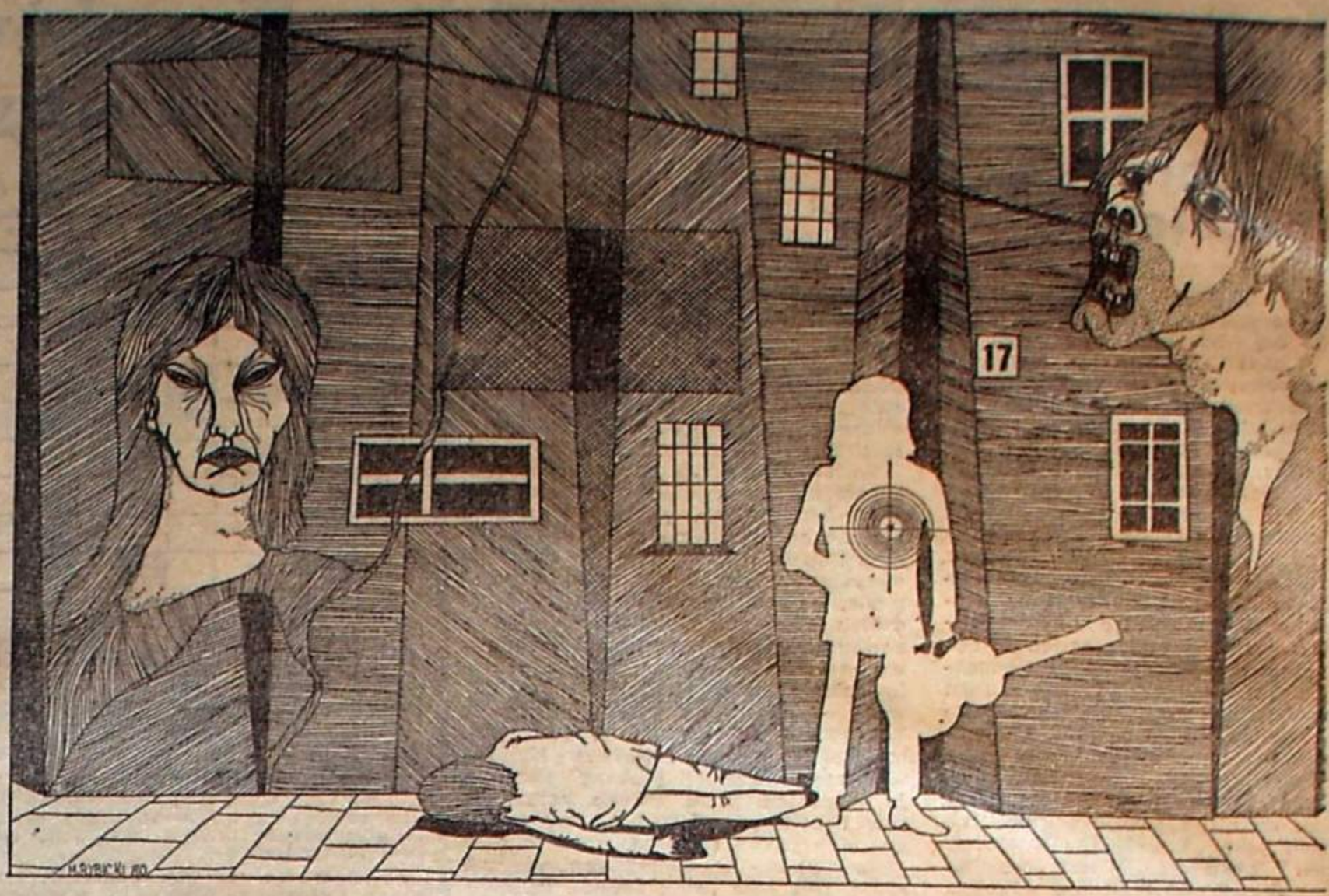

Rys. Mariusz Rybicki

ŁÓDZKIE „Rockowisko" zdobyło sobie rozgłos w kraju i uznanie fanów jako impreza podsumowująca całoroczną działalność estradową wykonawców spod znaku dynamicznej muzyki. Za każdym razem festiwal ten jest łączony z przeglądem łódzkich zespołów amatorskich. W 1982 roku laureatem przeglądu został kwintet, nazwany nieco dziwnie — REZERWAT. W momencie ogłaszania werdyktu jury nikt zapewne nie przypuszczał, że piątka młodych, mało jeszcze doświadczonych (grających wspólnie zaledwie pięć miesięcy) muzyków, trafi w ekspresowym tempie do czołówki, zagrażając tytanom rodzimej sceny. Iluż to bowiem laureatów przeróżnych przeglądów i festiwali przepadło bez wieści?

Z *Rezerwatem* było inaczej. Już w styczniu 1983 roku nagrał dla programu III Polskiego Radia „Obserwatora" i „Histerię". Obie piosenki przypadły mocno do gustu nastoletnim słuchaczom. Nic więc dziwnego, że zostały one na wiele tygodni rezydentami listy przebojów „Trójki".

Co zdecydowało o powodzeniu *Rezerwatu*? Przede wszystkim chyba odmienność spojrzenia na wyeksploatowany, zdawałoby się, kanon rocka. Młodzi łodzianie zagrali inaczej od wylansowanych nie tak dawno idoli. Nie eksponowali w swych kompozycjach błyskotliwych solówek gitary na wzór Jimmy'ego Page'a, nie markowali żadnej z nowofalowych kapel, ani też nie głosili płomiennych manifestów, sugerujących związek z punk rockiem. Ich muzyka pulsowała życiem. Była świeża, atrakcyjna, spontaniczna. Niejeden krytyk z podziwem kręcił głową, skąd u młodych stażem i wiekiem muzyków tyle oryginalności, wyczucia oczekiwań słuchaczy i wigoru.

Rychło okazało się, że zjawiska pod nazwą *Rezerwat* nie sposób rozpatrywać bez uwzględnienia tekstów basisty Andrzeja Adamiaka, dotykających żywo niepokojów młodego pokolenia. Dopiero w połączeniu z intrygującą melodią i niespokojnym, rzekłbym nawet, znerwicowanym rytmem, teksty zyskiwały dodatkowy walor artystyczny. W krótkim czasie po scenicznym debiucie zespół zdobył się na próbę zdefinowania własnej twórczości. Według ich manifestu, tworzywem tej muzyki jest rock „zabrudzony" nową falą, lub, jak kto woli, nowa fala „zabrudzona" rockiem. Taka definicja wydaje się najzupełniej bezpieczna i najbliższa chyba prawdy. Głównie jest to muzyka istniejąca integralnie z tekstami. A teksty to czysta idea *Rezerwatu:*

„Normalni szarzy ludzie w rozbieganej, nękanej cywilizacją społeczności. Rezerwat bez drutów w samym środku śmietniska ludzkich ideałów. Strach, zawiść, stres, histeria, agresja, korupcja, ucieczka — tego wszystkiego w rezerwacie normalnych ludzi nie ma. Dlatego z rezerwatu będącego wyspą woli widać to wszystko dokładnie. A zobaczyć jasno własną klatkę, to prawie ją otworzyć. Jeden krok dzieli cię od prawdziwej wolności".

„Obserwator" był lokomotywą wprowadzającą na listy szlagierów kolejne propozycje. Sporym uznaniem fanów cieszyły się później piosenki: „Histeria", „Marionetka", „Cywilizacja", „Modlitwa" i „Paryż". Zachwyty przeważały w recenzjach na temat poczynań *Rezerwatu*, choć nie brakowało też odrobiny żółci. Niektórzy recenzenci, sugerując się znerwicowanym głosem Adamiaka, okrzyknęli zespół plagiatorem wcześniejszych pomysłów aranżacyjnych i interpretacyjnych *Republiki*. Było to jednak złudzenie, które muzycy *Rezerwatu* rozwiali dość szybko spójnym logicznie i innym od *Republiki* programem.

Przed wakacjami wzięli udział w tourneé po Polsce nowofalowej grupy *Classix Nouveaux*. Natomiast po wakacjach nagrali w Warszawie pierwszy longplay. Wydała go w błyskawicznym tempie i efektownej obwolucie polonijna firma „Savitor". Słuchając tego dysku, trudno ukryć podziw dla sprawności i pomysłowości łodzian, kroczących do sukcesu własną ścieżką nowofalowego traktu. W moim odczuciu, są oni świadomi kierunku, jaki wybrali, i mają do odkrycia niejedną sekretną kartę. Propozycje *Rezerwatu* niosą ze sobą rzetelne rzemiosło estradowe, poparte przebojową melodią i niebanalnym aranżem. W chwili obecnej jest on jedną z najbardziej progresywnych grup, zdolnych jeszcze osiągnąć wiele. Jak będzie naprawdę, przekonamy się w niezbyt długim czasie. Grupa gra i koncertuje w następującym składzie: Zbigniew Nikodemski — instrumenty klawiszowe, Wiktor Daraszkiewicz i Mariusz Jeremus — gitary, Piotr Mikołajczyk — perkusja oraz Andrzej Adamiak — gitara basowa, śpiew. Opiekę artystyczną nad *Rezerwatem* sprawuje łódzka delegatura Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego.

Istvan Grabowski

Frajer dożywotni

DO nas dotarła fala demokratyzacji. Centrala powiedziała tak: możecie sobie sami wybrać prezesa. Zatkało nas. Sami? Toż to o pomstę niebios wołało! Szedł teleks za teleksem do centrali a ta pognębiła nas do reszty. „W tajnym głosowaniu" — głosiła oficjalna nota. „A czy może — zapytaliśmy — kandydować obecny prezes?" — „Może — odpowiedziano. — Nie ma przeciwwskazań".

Przyjechała nas setka delegatów. Po referacie prezesa, który uwypuklił osiągnięcia naszej spółdzielni, zaczęła się ożywiona dyskusja.

— Nasz kochany prezes wzniósł naszą placówkę na wyżyny — powiedział delegat z Wólki Bezpańskiej. — Jeszcze nigdy w historii nie odnotowywaliśmy takich sukcesów.

Wszyscy biliśmy brawo. Omal nam ręce nie popuchły od oklasków.

— Jest naszym wielkim szczęściem, że mamy takiego prezesa — grzmiał z trybuny delegat z Woli Pańskiej. — Dzięki jego inicjatywie szybciej dojdziemy ku...

Nie dokończył, bo z tylnych ław zaczęto skandować: „Prezes Tkaczyk, prezes Tkaczyk, prezes Tkaczyk..." Entuzjazm sali dosięgał zenitu.

Trzeci mówca z Wielkiej Woli Panieńskiej rozpalił już zgromadzonych do białości:

— Prezes Tkaczyk to nasz ojciec. Gdyby trzeba było dla niego życie powięcić, to ja pierwszy zgłaszam się na ochotnika.

Co się działo! Ludzie wstawali z miejsc i obejmowali się serdecznie. A łzy takie kapały, że wydawało się, iż trzeba będzie wzywać straż pożarną dla odwodnienia terenu.

Zbliżał się moment głosowania. Pierwsza padła kandydatura prezesa Tkaczyka. Tej owacji, jaka wówczas nastąpiła, opisać nie sposób!

Kochany prezes kłaniał się starcom, dzieciom i młodzieży, jakby powiedziano w literaturze. I już, już wydawało się nam, że wybory mamy z głowy. Tak samo myślał zapewne i prezes, bo poprosił o głos i powiedział niemal błagalnie:

— Przyjaciele dzięki, dzięki stokrotne za zaufanie! Ale wiecie dotarła do nas fala demokratyzacji. Formalności musi stać się zadość. Zaproponujcie kogoś z sali. Ja się zgadzam kandydować, ale, rozumiecie, inne czasy nastały...

Cisza zrobiła się wielka. Spoglądaliśmy na siebie z ukosa i myśleliśmy, kto się pierwszy wychyli. Czas leciał, nasze spojrzenia tężały. W pewnym momencie z niepomiernym zdumieniem spostrzegliśmy, że wstał Kociuba.

— Demokracja — powiedział — to wielka rzecz. Jak ta fala i do nas dotarła, nie możemy jej zatamować. Żeby wszystko przebiegło zgodnie i z nowym duchem i z życzeniem centrali, proponuję, aby na prezesa kandydował również Woźniak.

Przewodniczący zebrania skierował wzrok na Woźniaka, a ten jakby skulił się, a ponieważ i tak do wielkoludów nie należał, wyglądał teraz jak krasnal od sierotki Marysi.

— Zgadza się pan, panie Woźniak?

Woźniak nie wiedział, co odpowiedzieć, ale ci, co siedzieli najbliżej, stuknęli go butami, a ktoś mu szepnął do ucha:

— Kiwnij głową! Nie będziemy tu przecież zimować!

No i Woźniak kiwnął. Potem jakiś delegat wstał i zaproponował zamknięcie listy kandydatów. W pierwszym momencie myśleliśmy nawet, że proponuje by zamknąć Woźniaka, ale na szczęście do takiego skandalu nie doszło. Przegłosowaliśmy wniosek jednomyślnie.

Po godzinie komisja skrutacyjna ogłosiła wyniki wyborów:

— Pan Tkaczyk otrzymał 22 głosy, a pan Woźniak — 77. Jeden głos uznano za nieważny. Komisja stwierdza, że na prezesa wybrano pana Woźniaka.

Wracałem do domu, tak się jakoś złożyło, właśnie z tymi trzema, którzy wychwalali Tkaczyka. Nie wytrzymałem i wyrąbałem im prosto w oczy:

— No i jak teraz wyglądacie? Tkaczyk przepadł. Głupio wam, co? Tego nie przewidzieliście?

— Oczywiście, że przewidzieliśmy — powiedział jeden z nich klepiąc mnie przy tym po plecach. — Tkaczyk nie miał żadnych szans, by zostać prezesem.

— Więc dlaczego tak kadziliście mu bez umiaru?

— Dlaczego? Tkaczykowi centrala nie da zginąć. Zwalnia się etat kierownika sklepu. Kto nim zostanie? Oczywiście, że Tkaczyk. Frajerze, on potrafi dobrze pamiętać o tych, którzy ciepło o nim mówili i odwdzięczy się jak należy!

Fakt. Frajer to ja jestem dożywotni. Na zebraniu gęba mi się nie otworzyła, a kiedy przyszło do głosowania, skreśliłem, jak ten głupi, nazwisko Woźniaka.

Żeby ja teraz miał pod ręką tego, który wymyślił tajne głosowanie! Miałby się z pyszna!

Wróciłem do chałupy wściekły jak nigdy i opowiedziałem o wszystkim żonie. Ta umiała mnie pocieszyć:

— Przecież Woźniak nie wie, że go skreśliłeś. A prezes, to jednak prezes...

Marek Adam Jaworski